

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

171362

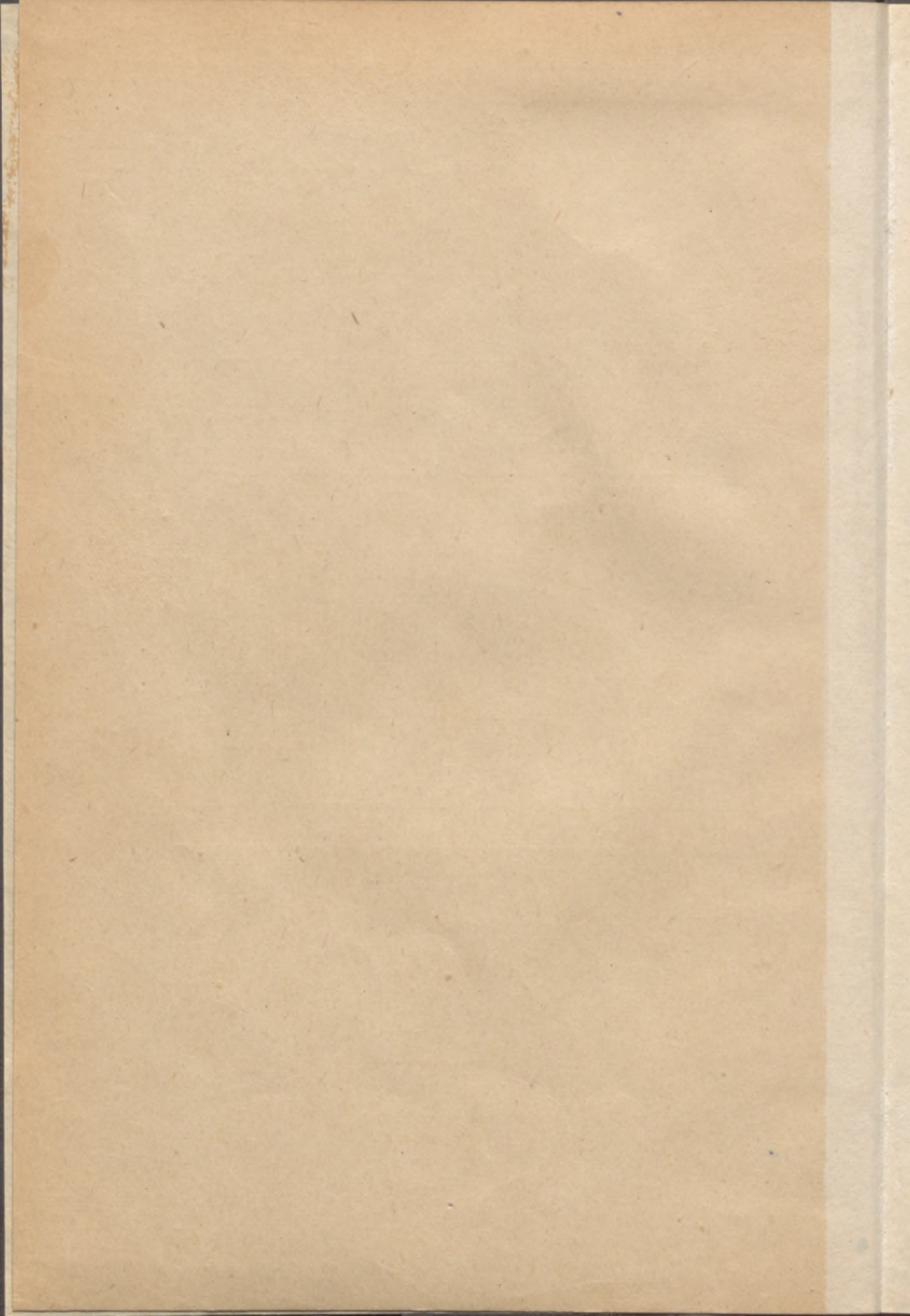
II

GUY DE MAUPASSANT

NASZYJNIK
I INNE OPOWIADANIA

M A Ł A
BIBLIOTECZKA
KSIĄZKI i WIEDZY

34



171362
MAŁA BIBLIOTECZKA
„KSIĄŻKI i WIEDZY”

34

GUY DE MAUPASSANT

NASYJNIK
I INNE OPOWIADANIA



• KSIĄŻKA i WIEDZA •

WARSZAWA 1951

Język oryginału: francuski
Okładkę projektował: Wł. Daszewski
Redaktor odpowiedzialny: Feliks Przytułski

Teksty zaczerpnięto z następujących wydań:

„Naszyjnik” i „W rodzinnym gronie” z wydania: Guy de Maupassant. Spadek i inne opowiadania. Przekład Adolfa Sowińskiego. Książka i Wiedza Warszawa 1949

„Ryby”, „Jefcy”, „Pchła”, „Diabeł” z wydania Guy de Maupassant Włóczęga, opowiadania. Przekład z francuskiego Marii Feidmanowej. Książka i Wiedza. Warszawa 1949

141.562

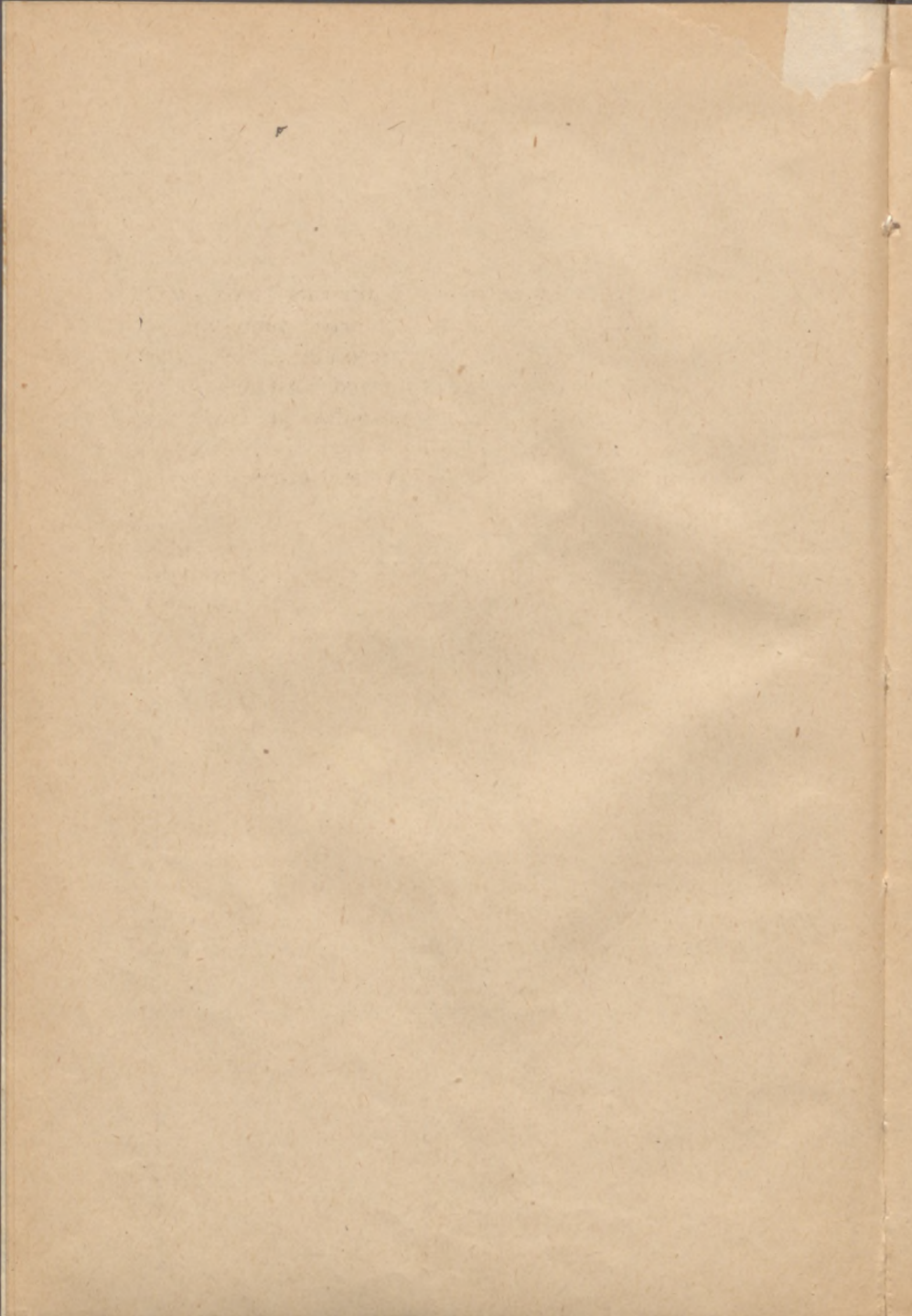
II



„Książka i Wiedza”. Warszawa * Printed in Poland * Maj 1951 rok
Tłoczono 30 000 + 200 egz. Zabl. Graf. „Książka” Przeds. Państw. w Krakowie
Obj. ark. wydawn. 3.7 * Nr zam. 184 * Druk ukończono dnia 15. VI. 1951 roku
Papier sat. rot. 70 g, f. 58.2 cm * Obj. arkuszy drukarskich 6,5 * M-2-14637

8.1399/51

NASYJNIK



Była to jedna z tych ślicznych i zniewalających swym urokiem dziewczyn, które jak gdyby przez pomyłkę losu przychodzą na świat w rodzinach urzędniczych. Nie miała ani posagu, ani żadnych nadziei przed sobą, nie mogła liczyć na okoliczności, w których poznałby ją, zrozumiał, pokochał i zaślubił człowiek bogaty i wytworny. Zgodziła się tedy wyjść za drobnego urzędnika z Ministerstwa Oświecenia Publicznego.

Żyła w prostocie jedynie dlatego, że nie mogła błyszczeć, ale czuła się nieszczęśliwą, jak gdyby ją zdeklasowano. Kobiety bowiem nie należą do żadnej rasy i do żadnej warstwy społecznej, a urodzenie i rodzinę zastępują im piękność i wdzięk. Hierarchię¹ wśród nich stwarza jedynie wrodzona subtelność, wykwił instynktów i bystrość umysłu, dzięki którym dziewczęta z ludu stają się równe wielkim damom.

Cierpiała ustawicznie w poczuciu, że jest stworzona do wszelkiego rodzaju zbytku i wytworności. Cierpiała nad ubóstwem swego mieszkania, nad nędzą ścian, nad zużytymi siedzeniami krzeseł i brzydota tkanin. To wszystko, czego inna kobieta jej stanu nawet by nie zauważyła, budziło w niej udrękę i odrazę. Widok małej Bretonki, która zajmowała się skromnym gospodarstwem, stawał się powodem do zgrzyoty i szalonych marzeń. Marzyła o zacisznych

¹ Hierarchia — układ wzajemnej zależności służbowej lub społecznej.

przedpokojach, wysłanych wsehodwimi obiciami i oświetlonych wysoko umieszczonymi kagańcami z brązu, o dwu rozsiętych lokajach w krótkich spodniach, którzy drzemią w obszernych fotelach, odurzeni ociężałym ciepłem kaloryferów. Marzyła o wielkich i obitych starym jedwabiem salonach, o wykwintnych meblach, na których stoją bezcenne cacka, o małych i zalotnych salonikach nasyconych perfumą, a stworzonych do gawędy o piątej godzinie po południu z najbliższymi przyjaciółmi, ludźmi tak znanymi i poszukiwanymi, że ich względy są przedmiotem pragnień i zazdrości wszystkich kobiet.

Gdy przy okrągłym stole nakrytym nie zmienianą od trzech dni serwetą siadała do obiadu naprzeciw swego męża, który odkrywając wagę obwieszcział z zachwytem: „Och, co za rosół! Nie znam nic wyborniejszego na świecie...“, marzyła o świetnych przyjęciach, połyskującym srebrze stołowym, gobelinach zaludniających ściany postaciami starożytności i dziwnymi ptakami wśród gajów z bajki. Marzyła o wyszukanych potrawach, podawanych do stołu w cudownych naczyniach, o grzecznych słówkach, szeptanych i słuchanych z uśmiechem sfinksa¹ w czasie spożywania bladuróżowego pstrąga lub skrzydełek jarząbka.

Nie miała ani strojów, ani klejnotów, a lubowała się tylko w tych rzeczach, tylko do nich czuła się stworzona. Tak bardzo pragnęła się podobać, wzbudzać zazdrość i być rozrywana!

Miała bogatą przyjaciółkę, koleżankę z klasztoru, ale już przestała ją nawet odwiedzać, bo nazbyt cierpiała za każdym powrotem do domu. I potrafiła całymi dniami płakać w sinutku, żalu, beznadziei i opuszczeniu.

* * *

¹ Sfinks -- w dawnym Egipcie symbol słońca w postaci lwa z ludzką twarzą o tajemniczym uśmiechu.

Pewnego wieczoru mąż powrócił z miną tryumfatora. W rękę trzymał dużą kopertę.

— Spójrz! — powiedział — mam tu coś dla ciebie.

Zywo rozerwała kopertę i wyciągnęła z jej wnętrza kartę, na której były wydrukowane następujące słowa:

„Minister Oświecenia Publicznego oraz pani Grzegorzowa Ramponneau mają zaszczyt prosić państwa Loisel na wieczór taneczny, który odbędzie się w poniedziałek dnia 18 stycznia w gmachu Ministerstwa“.

Nie okazując zachwytu, którego spodziewał się mąż, rzuciła niechętnie zaproszenie na stół i rzekła głosem stłumionym:

— Więc cóż mam z tym począć?

— Ależ, moja droga, ja sądziłem, że będziesz zadowolona. Nie chodzisz nigdzie, a to jest okazja. I to piękna okazja! Wiele zachodu mnie to kosztowało. Każdy chciał mieć zaproszenie, każdy się o nie dobijał, a mało kto z urzędników je dostał. Zobaczysz tam cały świat oficjalny.

Spojrzała nań z rozdrażnieniem i rzekła niecierpliwie:

— No a cóż chcesz, żebym włożyła na grzbiet, gdy tam pójdę?

Nie pomyślał o tym, przeto powiedział nieśmiało:

— Chyba tę suknię, w której chodzisz do teatru. Wydaje mi się doskonała...

Zamilkł zdumiony i przerażony widząc, że jego żona płacze. Dwie grube łzy płynęły powoli z kącików jej oczu ku kąciakom ust. Zapytał niepewnie:

— Cóż ci to? Cóż ci to?

Gwałtownym wysiłkiem opanowała ból i wycierając zwiłgotniałe policzki odrzekła głosem spokojnym:

— Nic ponadto, że nie mam sukni i dlatego nie mogę pójść na zabawę. Oddaj zaproszenie temu z kolegów, którego żona okaże się mniej obdarta niż ja.

Zmartwił się.

— Zobaczymy, Matylde — odparł. — Ileż by kosztowała taka przyzwoita suknia, która mogłaby ci służyć poza tym w innych okolicznościach, coś zupełnie prostego?

Zastanawiała się przez kilka sekund, nie tylko rachując, ale i licząc się z sumą, o którą mogłaby poprosić bez narażenia się na bezpośrednią odmowę i okrzyk zgrozy ze strony oszczędnego skryby.¹

Wreszcie odrzekła z wahaniem:

— Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że z czterystoma frankami² można by wylądować.

Pobladł nieco, ponieważ odłożył sobie dokładnie tę właśnie sumę, aby latem zapolować na równinach pod Nanterre, gdzie kilku z jego przyjaciół strzelało co niedzielę do skowronków.

Mimo to powiedział:

— Dobrze, dam ci czterysta franków, ale postaraj się mieć za to piękną suknię.

* * *

Zbliżał się dzień zabawy, ale pani Loisel robiła wrażenie osoby smutnej, niespokojnej i pełnej obaw. Mimo to suknia była gotowa. Któregoś wieczoru pan Loisel zapytał:

— Co się z tobą dzieje? Jesteś wręcz dziwna od trzech dni.

— Martwię się — odpowiedziała — bo nie mam żadnej biżuterii, ani jednego kamyka, niczego, czym by się można przystroić. Będę miała wygląd ubogi i byle jaki. Wolałabym już raczej nie pójść na tę zabawę.

— Przypniesz kwiaty naturalne — odparł. — To bardzo szykowne o tej porze roku. Za dziesięć franków będziesz miała dwie albo i trzy wspaniałe róże.

¹ Skryba — pisarz, przepiswacz.

² Frank — jednostka monetarna francuska.

Nie trafiło jej to bynajmniej do przekonania.

— Nie... Nie ma nic bardziej poniżającego niż wygląd ubogi wśród kobiet bogatych.

Tu pan Loisel wykrzyknął:

— Jakaś ty niemądra! Zajdź do swej przyjaciółki, pani Forestier, i poproś ją, aby ci pożyczyła jakiś klejnocik. Jesteś z nią w stosunkach dostatecznie bliskich, więc możesz ją o to poprosić.

Pani Loisel wydała radosny okrzyk.

— Oczywiście! A wcale o tym nie pomyślałam.

Udała się tedy nazajutrz do przyjaciółki i opowiedziała jej swe troski.

Pani Forestier podeszła do lustrzanej szafy, wyjęła obszerną szkatułkę, a powróciwszy otworzyła ją ze słowami:

— Wybieraj moja droga.

Oczom pani Loisel ukazały się najpierw bransoletki, potem kolie¹ z pereł, a jeszcze potem cudownej roboty krzyż wenecki ze złota i drogich kamieni. Przymierzała te klejnoty przed lustrem i nie mogła powziąć decyzji, aby się z nimi rozstać, aby je zwrócić. Wciąż pytała:

— Masz jeszcze co?

— Oczywiście. Poszperaj. Nie wiem, co by ci się mogło najbardziej podobać.

Nagle pani Loisel odkryła w pudełku z czarnego atlasu wspaniały naszyjnik diamentowy. Serce poczęło jej walić od nadmiernego pożądania. Zadrżały jej ręce, gdy ujęła nimi naszyjnik. Zawiesiła go na gorsie zapiętej pod szyję sukni i trwała w zachwycie nad samą sobą.

Aż wreszcie zapytała z wahaniem i niepokojem:

— Czy mogłabyś mi to pożyczyć? Nic więcej, tylko to?

— Ależ z największą chęcią.

¹ Kolia — naszyjnik ozdobny.

Pani Loisel rzuciła się przyjaciółce na szyję, ucałowała ją z uniesieniem i znikła ze swym skarbem.

* * *

Nadszedł dzień balu. Pani Loisel miała szalone powodzenie. Była piękniejsza od innych kobiet, była elegancka, pełna wdzięku, uśmiechnięta i nie posiadała się z radości. Wszyscy mężczyźni wodzili za nią oczyma, pytali o jej nazwisko, szukali sposobności, aby się jej przedstawić. Nie było urzędnika ministerialnego, który by nie pragnął zatańczyć z nią walca. Sam minister zwrócił na nią uwagę.

Tańczyła w upojeniu, porwana i odurzona rękoszą, nie myśląc już o niczym w tryumfie swej piękności, w chwale powodzenia, w jakiejś chmurze szczęścia, na którą składały się hołdy, wyrazy podziwu i wzbudzone pragnienia, słowem: w pełnym i tak słodkim dla serc kobiecych zwycięstwie.

Wychodzą z balu około czwartej nad ranem. Mąż w towarzystwie trzech innych panów, których żony bawiły się również świetnie, drzemał już od północy w małym i odludnym saloniku.

Zarzucił jej na ramiona przyniesione z szatni okrycie, skromne okrycie dnia codziennego, bluźniące swym ubóstwem elegancji balowej toalety. Spostrzegła to i chciała umknąć, aby nie zobaczyły jej inne kobiety, które otulały się w bogate futra.

Loisel ją powstrzymał.

— Poczekajże. Zaziębisz się na dworze. Zaraz sprowadzę dorożkę.

Nie usłuchała go jednak i zeszła szybko ze schodów. Na ulicy nie mogli znaleźć dorożki. Wszczęli poszukiwania, nawołując przejeżdżających w oddali woźniców.

Zrozpaczeni i skostniałi weszli ku Sekwanie. I wreszcie na bulwarze¹ znaleźli jeden z tych starych i lunatycznych powozów, które można widzieć w Paryżu dopiero z nadejściem nocy, jak gdyby za dnia wstydziły się swej nędzy.

Dowiezieni aż pod bramę na ulicy des Martyrs, weszli smutnie do domu. Dla niej był to koniec wszystkiego, a on myślał o tym, że trzeba będzie być w ministerstwie na ósmą rano.

Ażeby jeszcze raz ujrzeć się w pełnym blasku, zdejmowała przed lustrem okrycie, którym otuliła się po balu. I nagle krzyknęła: kolia znikła z jej szyi!

Mąż, już na pół rozebrany, zapytał:

— Cóż ci się tam stało?

— Ja... ja... nie mam naszyjnika pani Forestier.

Wyprostował się z przerażeniem.

— Co?... Jakim sposobem?... To niemożliwe!

Poczęli szukać w fałdach sukni, w fałdach płaszcza, wszędzie. Nie znaleźli nic.

— Czy jesteś pewna — zapytał — że miałaś go jeszcze wtedy, gdyśmy wychodzili z balu?

— Tak, czułam go pod palcami w przedsiönku ministerstwa.

— Gdybyś go zgubiła na ulicy, bylibyśmy usłyszeli, jak upadł. Powinien być w dorożce.

— Tak, to prawdopodobne. Zapamiętałaś numer?

— Nie. A ty nie zwróciłaś na to uwagi?

— Nie.

Rozpamiętywali wszystko w przygnębieniu. Wreszcie Loisel ubrał się na powrót.

— Pójdę — rzekł — tą samą drogą, którą odbyliśmy pie szo. Może znajdę.

¹ Bulwar — szeroka aleja wysadzana drzewami, często ciągnąca się wzdłuż rzeki.

Wyszedł. Powalona na krzesło, zgaszona i bezradna pani Loisel pozostawała nadal w sukni wieczorowej, nie mając nawet siły, aby się położyć.

Mąż wrócił około siódmej rano. Nie znalazł nic.

Udał się do prefektury policji¹ i do redakcji dzienników, ogłaszając nagrodę dla znalazcy, był w towarzystwach wynajmu drugorzędnych powozów, chodził na koniec wszędzie, gdzie dostrzegł chociażby cień nadziei.

Pani Loisel oczekiwała nań przez cały dzień w tym samym co on zamęcie ducha wobec tak sromotnej klęski.

Loisel powrócił wieczorem z twarzą zapadniętą i pobladłą. Nie dokonał żadnego odkrycia.

— Musisz — powiedział — napisać do swej przyjaciółki, że zламаłaś zamek u jej naszyjnika i że trzeba go było oddać do naprawy. To nam da czas do poszukania jakiegoś wyjścia.

Napisała pod jego dyktandem.

* * *

Po upływie tygodnia stracili wszelką nadzieję.

Postarzały o pięć lat Loisel zadecydował:

— Trzeba pomyśleć o innym naszyjniku.

Nazajutrz wzięli z sobą pudełko po klejnocie i udali się do jubilera, którego nazwisko znaleźli w środku. Ten, zajmując się do swych ksiąg, oświadczył:

— Takiego naszyjnika nie sprzedałem. Kupiono zapewne u mnie tylko puzderko.

Chodzili więc od jubilera do jubilera szukając kosztowności podobnej i szperając w pamięci, chorzy obydwójce ze zmartwienia i niepokoju.

W sklepie przy Palais-Royal znaleźli koronkę diamentową, która wydała im się zupełnie podobna do przedmiotu ich poszukiwań. Kosztowała czterdzieści tysięcy franków. Opuszczono by im do trzydziestu sześciu.

¹ Prefektura policji — komenda policji.

Poprosili jubilera, aby nie sprzedawał koronki w ciągu trzech dni. Zawarowali sobie ponadto, że kosztowność zostanie na powrót przyjęta za trzydzieści cztery tysiące franków, o ile zagubiony naszyjnik odnajdzie się przed końcem lutego.

Loisel posiadał osiemnaście tysięcy franków po swym ojcu. Resztę miał dokończyć.

Pożyczał, prosząc jedną osobę o tysiąc franków, inną o pięćset, tu o pięć, a ówdzie o trzy ludwiki.¹ Wystawiał weksle, miał do czynienia z lichwiarzami i ze wszelkiego rodzaju typami ludzi, trudniącymi się pożyczaniem pieniędzy. Narażał w rezultacie całą swą egzystencję,² ryzykował swój podpis, nie mając nawet pojęcia, czy będzie mógł pokryć przyjęte zobowiązania. Doznając przerażającego niepokoju o przyszłość, strachu przed ponurą nędzą, która się nań waliła, przed perspektywą wszelkiego rodzaju niedostatków fizycznych i udręk moralnych, poszedł po nowy naszyjnik i wyłożył kupcowi na ladę trzydzieści sześć tysięcy franków.

Gdy pani Loisel odniosła naszyjnik, pani Forestier rzekła z urazą:

— Powinnaś mi go była wcześniej zwrócić. Mogłam go potrzebować.

Nie otworzyła puzderka, czego najbardziej obawiała się jej przyjaciółka. Cóż by sobie pomyślała, gdyby zauważyła, że klejnot jest zastąpiony innym? Co by powiedziała? Czy by jej nie wzięła za złodziejkę?

* * *

Pani Loisel poznała okropności życia w niedostatku. Od razu zresztą przyjęła swój los z bohaterstwem. Należało spłacić ów straszliwy dług, więc pragnęła go spłacić. Odprawiono służącą, zmieniono mieszkanie, wynajęto poddasze.

¹ Ludwik — moneta wartości 20 franków.

² Egzystencja — byt, istnienie.

Poznała grube roboty gospodarskie i obrzydliwe zajęcia kuchenne. Zmywała naczynia, prała brudną bieliznę, koszule i ścierki, susząc to wszystko na sznurach. Co rano zносиła na ulicę śmieci, a na górę wносиła wodę, zatrzymując się dla złapania tchu na każdym piętrze. Ubrana jak kobieta z ludu, chodziła sama z koszykiem na ramieniu do owocarni, sklepów kolonialnych i jatek, kłócąc się i targując, broniąc każdego grosza ze swych żałosnych sum.

Mąż pracował wieczorami nad uporządkowaniem rachunków pewnego kupca, a nocą przepisywał częstokroć teksty po pięć sous¹ od strony.

I takie życie trwało przez dziesięć lat.

Pod koniec dziesiątego roku zwrócili wszystko, wypłacili wszystko, razem z lichwiarskimi odsetkami i procentami składanymi.

Pani Loisel robiła już teraz wrażenie osoby starej. Stała się mocną, twardą i opryskliwą kobietą z ubożego gospodarstwa. Nie cesała się, podwijiała na ukos suknię, miała czerwone ręce, mówiła podniesionym głosem i myła podłogi bez niczyjej pomocy. Ale czasem, gdy mąż był w biurze, zasiadała przy oknie i marzyła o tym dawnym wieczorze, o tym balu, na którym była tak piękna i tyle doznała holdów.

Co by się było stało, gdyby nie zgubiła naszyjnika? Kto wie? Kto wie? Jakież to życie jest dziwne i zmienne! I jak niewiele potrzeba, aby nas zgubić lub ocalić!

* * *

Pewnej niedzieli, gdy dla wytchnienia po całotygodniowej pracy wyszła przejść się po Polach Elizejskich, spostrzegła spacerującą z dzieckiem kobietę. Była to pani Forestier, wciąż młoda, wciąż piękna, wciąż pończta.

¹ Sou — drobna moneta francuska (5 centymów, czyli $\frac{1}{20}$ franka).

Pani Loisel poczuła wzruszenie. Czy podejść i pomówić z nią? Zdecydowała się. Teraz, gdy wyrównała już rachunek, opowie jej wszystko. Bo i dlaczegożby nie?

— Dzień dobry, Joanno — rzekła podchodząc.

Tamta zupełnie jej nie poznała. Zdumiawszy się, że jakaś mieszcżka odzywa się do niej w sposób tak poufaly, bąknęła niechętnie.

— Ależ, proszę pani!... Ja pani nie znam... Pani się chyba myli.

— Nie. Jestem Matylda Loisel.

Przyjaciółce wyrwał się okrzyk.

— ...O, moja biedna Matyldo, jakieś ty się zmieniła!...

— Zmieniłam się. Przeżyłam bardzo ciężkie dni od czasu, gdyśmy się widziały po raz ostatni, dni prawdziwej nędzy... A wszystko przez ciebie!...

— Przeze mnie? W jaki sposób?

— Przypominasz sobie na pewno ten naszyjnik diamentowy, który mi pożyczyłaś, gdy szłam na bal do ministerstwa.

— Owszem, ale cóż z tego?

— Ja go zgubiłam.

— Zgubiłaś? Przecież mi go odniosłaś.

— Odniosłam ci inny, podobny do tamtego. Piaciliśmy zań przez dziesięć lat. Rozumiesz, że to nie było dla nas łatwe, skoro nie mieliśmy nic... Nareszcie się skończyło. Jestem z tego mocno zadowolona.

Pani Forestier przystanąła.

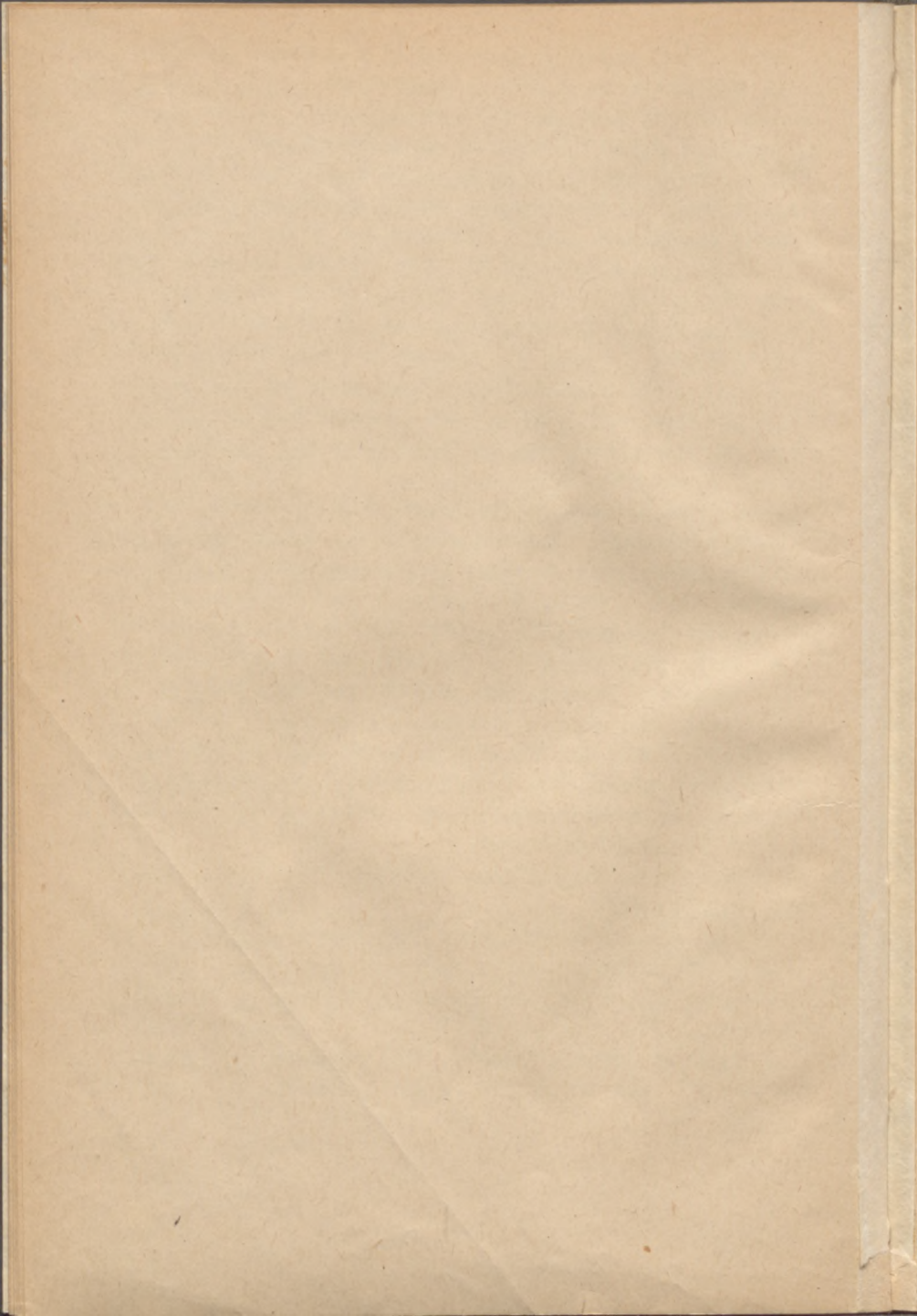
— Mówisz, że kupiłaś inny naszyjnik diamentowy, aby nim zastąpić mój?

— Tak. Nie zauważyłaś tego? Były bardzo podobne.

Uśmiechnęła się pełna radosnej i naiwnej dumy.

Głęboko wzruszona pani Forestier chwyciła ją za obydwie ręce.

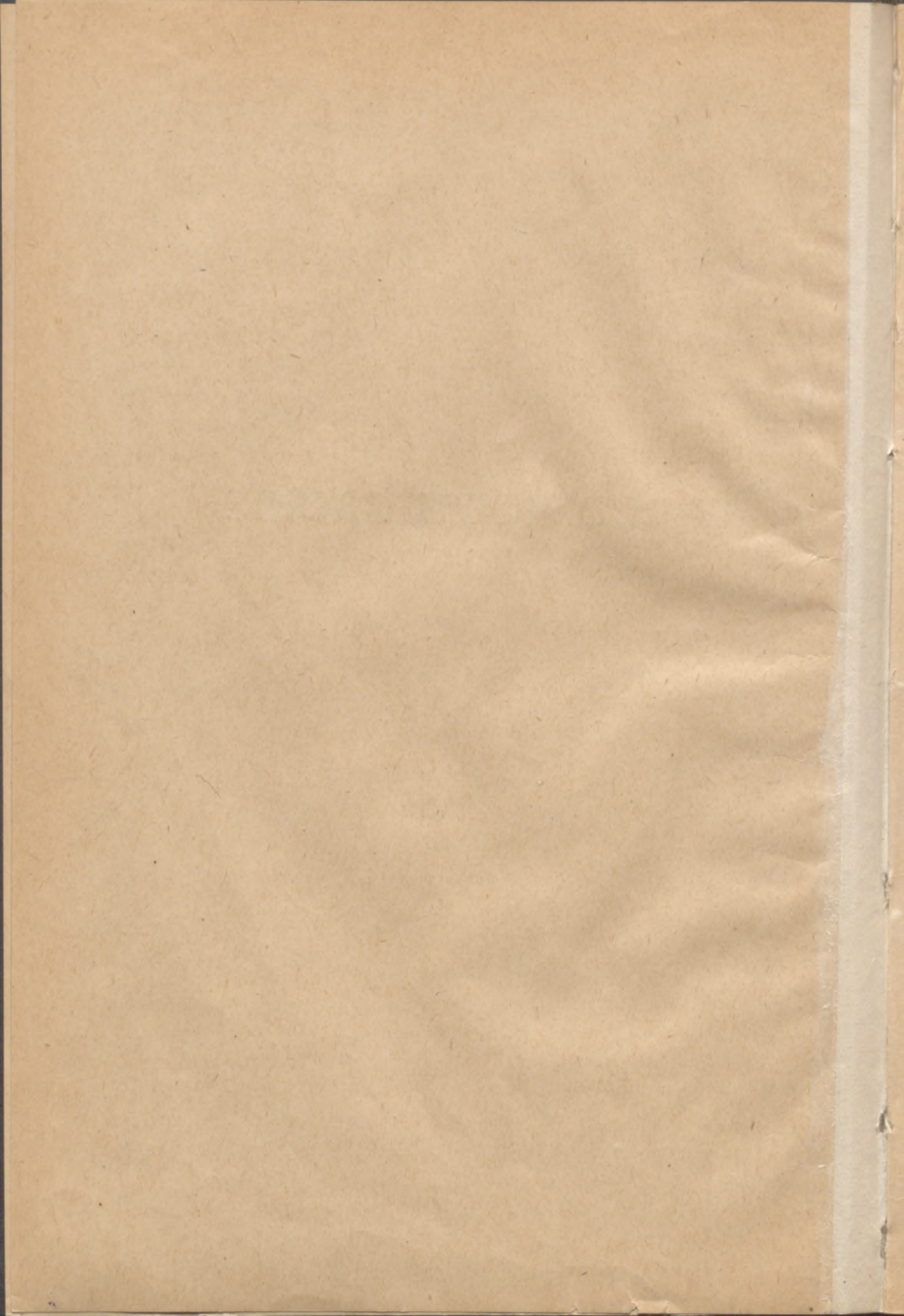
— Moja ty biedna Matyldo! Mój naszyjnik był fałszywy. Nie był wart więcej niż pięćset franków!...



W RODZINNYM GRONIE

Naszyjnik -- 2





Tramwaj zdążający do Neuilly minął bramę Maillot i sunął wzdłuż długiej alei, która dochodzi aż do Sekwany. Zaprzęgnięta do wagonu mała lokomotywa gwizdem rozpedzała przeszkody, wypluwała parę i sapiała jak człowiek tracący dech w biegu, a tłoiki poruszały się z pośpiesznym szcękaniem jakichś żelaznych nóg. Ciężki skwar skłaniającego się ku końcowi dnia letniego padał na ulicę, z której pomimo zupełnego bezruchu powietrza podnosił się kurz biały jak kreda, nieprzeźroczysty, gorący i duszny, przylepiający się do spotniałej skóry, napełniający oczy, wnikaający do płuc.

Ludzie wychodzili przed bramy, aby zaczerpnąć powietrza.

Szyby w wagonie były opuszczone, a wszystkie firanki trzepotały od szybkiej jazdy. Wewnątrz wagonu siedziało niewiele osób, gdyż w te gorące dni sadowiono się raczej na imperiale¹ lub na pomostach. Były tam otyłe damy w farsowych² toaletach, typowe mieszcзки z przedmieścia, udające niedostępną im wytworność napuszonym dostojęństwem, godnym innego czasu i miejsca. Byli panowie zmordowani pracą biurową, z twarzami pożółkłymi, zgiętymi postaciami, łopatkami nieco wystającymi od długiego pochylania się nad biurkiem. Ich niespokojne i smutne oblicza

¹ Imperiał — w staroświeckich tramwajach i autobusach miejsce siedzące na dachu.

² Farsowy — jak z farsy; farsa — utwór teatralny komiczny, płytki, wywołujący wesołość niewybrednymi środkami.

mówiły ponadto o troskach domowych, o nieustannej potrzebie pieniędzy, o zamierzczliwych nadziejach już ostatecznie zawiedzionych, albowiem wszyscy należeli do owej armii ludzi gołych jak święci tureccy, a wegetujących oszczędnie w nędznych kamieniczkach ze sztukateriami¹ i jedyną gźadką w charakterze ogródka, na zaśmieconej równinie, która ciągnie się wokół Paryża.

Tuż przy drzwiach niski i gruby człowiek z twarzą obrzękłą, z brzuchem opadającym pomiędzy rozstawione nogi tudzież z orderem na czarnym ubraniu, rozmawiał z wysokim chudzielcem o nieporządnym wyglądzie, mającym na sobie białe i bardzo brudne ubranie z drellichu, a na głowie stary kapelusz panama². Pierwszy z nich mówił powoli, z niejakim ociąganiem się, które niekiedy zdawało się upodabniać go do jakały. Był to pan Caravan, urzędnik z ministerstwa marynarki. Drugi, były oficer sanitarny ze statku handlowego, zakończył poprzednią karierę, osiedliwszy się na róndzie³ Courbevoie, gdzie wśród ubogiej ludności tej dzielnicy próbował swych mętnych wiadomości medycznych, których mu dostarczyło uprzednie życie awanturnika. Nazywał się Chenet, a kazał tytułować się doktorem. Krążyły niedobre pogłoski o jego moralności.

Pan Caravan wiódł od dawna normalne życie urzędnicze. Od trzydziestu lat udawał się nieodmiennie co rano do biura tą samą drogą, spotykając o tej samej godzinie i w tych samych miejscach tych samych ludzi, udających się również do pracy. A gdy powracał co wieczór, odnajdywał na tym samym szlaku znowu te same i starzejące się w jego oczach twarze.

¹ Sztukaterie — gipsowe płaskorzeźby na suficie, ścianach; modne u schyłku XIX wieku.

² Kapelusz panama — letni kapelusz pleciony z tyka rośliny rosnącej w Panamie (Ameryka Środkowa).

³ Rondo — kolisty plac lub kolonia domów w kształcie kolistym.

Codziennie, kupiwszy na rogu Faubourg Saint-Honoré gazetę za jeden sou¹, zaopatrywał się z kolei w dwie bułki i wchodził do ministerstwa z miną winowajcy, który oddaje się w ręce sprawiedliwości. Harował w biurze ochoczo, z sercem pełnym niepokoju, w ciągłym oczekiwaniu na burę za jakiegokolwiek niedopatrzenie, którego mógłby się dopuścić.

Nigdy nie zdarzyło się nic, co by mogło odmienić jednostajny porządek jego życia, albowiem nie obchodziło go nic poza sprawami biurowymi, awansami i gratyfikacjami. Czy to w ministerstwie, czy też w gronie rodzinnym (był bowiem żonaty, poślubiwszy córkę ubogiego kolegi) rozmawiał jedynie o sprawach służbowych. Nigdy jego umysł, obumarły w codziennej i oglupiającej robocie, nie zdobywał się na myśli, nadzieje i marzenia wybiegające poza ministerstwo. Jednakże gorycz ustawicznie zatruwała jego urzędnicze rozkosze, gorycz spowodowana najazdem intendentów² marynarki, blacharzy, jak ich nazywano z powodu srebrnych galonów, na stanowiska naczelników i ich zastępców. Co wieczór podczas obiadu wysuwał w tej materii wobec żony, która podzielała jego nienawiść, niezbite dowody, jak niesłuszną pod każdym względem rzeczą jest dawanie stanowisk w Paryżu ludziom przeznaczonym do żeługi.

Postarzał nie dostrzegłszy mijania swego życia, z gimnazjum bowiem przeszedł bezpośrednio do biura, a wychowawców, przed którymi ongi drżał, zastąpili mu potem naczelnicy, których bał się już wręcz niesamowicie. Sam widok progu tych pokojowych despotów³ zdolny był wstrząsnąć nim od stóp do głów. Od ustawicznej trwogi stał się niezgra-

¹ Sou — moneta francuska 5-centymowa (1/20 franka).

² Intendent — oficer od spraw gospodarczych i zaopatrzenia.

³ Despota — pan samowładny, ciemiężca.

bny w sposobie bycia, nabrał uniżoności i uległ pewnemu rodzajowi nerwowych zająknięć.

Znał Paryż tylko tak, jakby go mógł znać ślepiec prowadzony codziennie pod tą samą bramę przez psa. Gdy w swej gazecie za jeden sou czytał wiadomości o wydarzeniach i skandalach, przyjmował je jako opowieści fantastyczne, zmyślane ku rozrywce drobnych urzędników. Jako człowiek karny, reakcjonista bez określonej co prawda przynależności partyjnej, ale wróg wszelkich nowości, przechodził do porządku dziennego nad wydarzeniami politycznymi, które zresztą jego dziennik, zawsze z jakiegoś powodu przekupiony, zazwyczaj podawał w zniekształceniu. A kiedy co wieczór powracał aleją Pól Elizejskich, przyglądał się bacznie tłumowi spacerowiczów i toczącemu się strumieniowi pojazdów niby obcy podróżny, który przemierza strony bardzo odległe.

W tym samym roku, w którym dobiegło trzydzieści lat jego nacechowanej obowiązkowością służby, otrzymał na pierwszego stycznia krzyż legii honorowej, która w administracji zmilitaryzowanej wynagradza długą i nikczemną niewolę — (mówi się: wierne służby) — posępnych galerników, przykutych do zielonego kartonu. To nieoczekiwane dostojenie stworzyło w nim nowe i wysokie pojęcia o własnych uzdolnieniach i odmieniło z gruntu jego obyczaje. Przestał nosić kolorowe spodnie i fantazyjne marynarki, a przeszedł na spodnie czarne i długie surduty, bo przy takim stroju nader szeroka wstążeczka prezentowała się okazalej. Golił się co rano, starannie czyścił paznokcie, zmieniał bieliznę co drugi dzień — i tak w poczuciu praworządności form towarzyskich tudzież przez poszanowanie dla porządku publicznego, którego częścią sobą stanowił, stał się z dnia na dzień innym Caravanem: wymuskany, majestatycznym i pobłażliwym.

U siebie w domu zwykł był przy każdej sposobności używać określenia: „mój krzyż“. Opanowała go taka pycha, że

nie mógł ścierpieć na kłapie u bliźnich wstążeczki innego rodzaju. Przede wszystkim irytował go widok orderów cudzoziemskich, „których noszenie — jak twierdził — powinno być we Francji zakazane“. W szczególności miał tu na myśli doktora Chenet, którego spotykał co wieczór w tramwaju, przyozdobionego odznakami na przemian białymi, niebieskimi, pomarańczowymi lub zielonymi.

Rozmowy tych dwu ludzi, toczone między Łukiem Tryumfalnym a Neuilly, były zresztą zawsze jednakowe. Tego dnia, podobnie jak dni poprzednich, zajęli się najpierw różnymi nadużyciami miejscowymi, które obydwu oburzały, a używali sobie tym razem na merze¹ z Neuilly. Później, jak to nieodmiennie bywa w towarzystwie lekarza, Caravan poruszył temat chorób, żywiąc nadzieję, że osaczywszy sprytnie rozmówcę wyciągnie zeń — zanim ten zorientuje się, na czym sztuczka polega — za darmo kilka bezpłatnych porad, a może nawet uzyska jakąś poradę zasadniczą. Matka bowiem niepokoiła go już od dłuższego czasu. Często ulegała przewlekłym omdleniom, a chociaż liczyła dziewięćdziesiąt lat, zupełnie nie chciała o siebie dbać.

Caravana rozrzewniał jej podeszły wiek, toteż zapytywał w kółko doktora Chenet: „Czy widział pan wielu ludzi w tym wieku?“ I zacierał z radością ręce, jednakże bynajmniej nie dlatego, iżby go cieszył widok uwieczniania się takiej starowiny na ziemi, ale dlatego, że długotrwałe życie matki było jak gdyby obietnicą dla niego samego.

I tak rozwinął swą myśl: „O, w mojej rodzinie żyje się długo. Co do siebie, to jestem również pewny, że — wyjąwszy możliwość nieszczęśliwego wypadku — umrę w późnej starości“. Oficer sanitarny spojrzał nań z politowaniem, przez dobrą sekundę przyglądał się czerwonej jak burak twarzy sąsiada, jego otyłemu karkowi, kałdunowi opadają-

¹ Mer — naczelnik okręgu administracyjnego, odpowiadający dawnemu burmistrzowi w Polsce.

cemu pomiędzy otłuszczone i flakowate nogi, tej całej apoplektycznej kulistości starego i rozlazłego urzędnika. Uchyliwszy szybkim ruchem ręki szarawej panamy, która nakrywała mu główną część ciała, odpowiedział szyderczo: — „To nie takie znów pewne, dobrodzieju. Pańska matka jest chuchrem, a pan li tylko okłapiłym niezdara“. Caravan umilkł zakłopotany.

Tramwaj przybył tymczasem na miejsce. Gdy obydwaj wysiedli, pan Chenet zaproponował wermut¹ w położonej naprzeciwko kawiarni „Globe“, gdzie byli stałymi gośćmi. Właściciel po przyjacielsku wyciągnął ku nim dwa palce, które uściśnił ponad stojącymi na ladzie butelkami. Przyłączyli się do trzech miłośników domina, siedzących tu już od południa. Wymieniono serdeczności z nieuniknionym „Co słyhać?“ Grający powrócili do swej partii. Wreszcie powiedziano sobie dobranoc, podano ręce bez podnoszenia głów i każdy podążył na obiad.

Caravan mieszkał przy rondzie Courbevoie w niewielkiej dwupiętrowej kamienicze, której parter zajęty był przez fryzjera.

Dwa pokoje, jadalnia i kuchnia, pomiędzy którymi naprawiane krzesła krążyły według potrzeby, stanowiły całość mieszkania, gdzie pani Caravan spędzała czas na robieniu porządków, podczas gdy jej dzieci, dwunastoletnia Maria Ludwika i dziewięcioletni Filip August, ganiały ze wszystkimi ulicznikami z dzielnicy po wszystkich rynsztokach alei.

Ponad swym mieszkaniem Caravan umieścił matkę, której chciwość słynęła w całej okolicy, a chudość nasuwała powiedzenie, że Pan Bóg stworzył ją przy zastosowaniu jej własnych zasad oszczędności. Była zawsze w złym humorze i nie potrafiła przeżyć ani jednego dnia bez kłótni, połączonych z wybuchami niepohamowanego gniewu. Ze swego okna wymyślała na sąsiadów przed bramami, sprzedawców

¹ Wermut — gatunek wina o gorzkawym smaku.

warzyw i owoców, zamiataczy ulic i andrusów, którzy z zemsty chodzili za nią z daleka i pokrzykiwali „małpa zielona!“ — ilekroć wyszła na ulicę.

Mała dziewczyna z Normandii, zahukana niewiarogodnie, wykonywała posługi gospodarskie i spała na drugim piętrze tuż przy starej z obawy przed nieszczęśliwym wypadkiem.

W chwili gdy Caravan powrócił do domu, jego żona, dotknięta chroniczną chorobą sprzątania, doprowadzała właśnie kawalkiem flaneli do połysku mahoniowe krzesła, rozproszone w pustce pokojów. Nociła zawcze niciane rękawiczki, głowę przyozdabiała spadającym ustawicznie na jedno ucho czepkiem z różnokolorowymi wstążkami i powtarzała za każdym razem, gdy ją ktoś zaskoczył przy zaciąganiu podłogi, froterowaniu, czyszczeniu albo praniu: — „Nie jestem bogata, w moim domu wszystko zwyczajne, ale czystość stanowi mój zbytek, a to jest więcej warte od wielu innych rzeczy“.

Obdarzona zmysłem uporczywej praktyczności, była we wszystkim przewodniczką swojego męża. Co wieczór przy stole, a potem w łóżku długo rozmawiali o sprawach biurowych i chociaż żona była o dwadzieścia lat młodszą od męża, mąż oddał się jej niby spowiednikowi i szedł we wszystkim za jej radą.

Nie odznaczała się nigdy urodą, teraz zaś była już brzydka, drobna i chuderlawa. Słabe przymioty jej kobiecości, które kunszt powinien był podkreślać właściwym ubiorem, nikły zawcze pod nieporęcznym obleczeniem. Jej suknie zdawały się wciąż wykrzywiać ku jednej stronie, a poza tym często, nie zważając na widzów, drapała się, gdzie popadło, z upodobaniem, które przypominało nałóg. Jedyłą ozdobą, na którą sobie pozwalała, było całe mnóstwo jedwabnych wstążek, splatanych na pretensjonalnych czepkach, które miała zwyczaj nosić po domu.

Gdy spostrzegła wchodzącego męża, podniosła się, pocałowała go w faworyty i zapytała: — „Pamiętałeś o tym, żeby zajść do Potina, kochanie?“ (Chodziło tu o sprawunek, który obiecał załatwić). Caravan opadł zgnębiony na krzesło, bo zapomniał już o tym po raz czwarty. — „Ależ to jakieś fatum — powiedział — po prostu jakieś fatum. Nadaremnie pamiętam o tym przez cały dzień, bo zapominam każdego wieczoru“. — Robił wrażenie zrozpaczonego, więc go pocieszyła: — „Będziesz pamiętał jutro — i już. Jest co nowego w ministerstwie?“

— Owszem, wielka nowina: jeszcze jeden blacharz mianowany zastępcą naczelnika.

Spowaźniała.

— W jakim biurze? — zapytała.

— W biurze Zakupów Zagranicznych.

Rozgniewała się.

— A więc na miejsce Ramona, akurat na to miejsce, którego pragnęłam dla ciebie. No a Ramon? Poszedł na emeryturę?

— Na emeryturę — wykrztusił.

Pani Caravan poczuła wściekłość. Czepek spadł jej na plecy.

— A więc koniec z tą budą! Masz tam nic nie robić od tej pory! Jak się nazywa ten twój blacharz?

— Bonassot.

Wzięła leżący pod ręką Rocznik Marynarki i odnalazła: „Bonassot. — Toulon. — Ur. 1851. — Uczeń szkoły oficerskiej 1871, niższy intendent 1875“.

— Czy ten człowiek pływał?

Caravan rozpogodził się na to pytanie. Naszła go wesołość i potrząsnęła jego brzuchem. — „Akurat tak samo jak Balin, jego szef“ — powiedział i śmiejąc się jeszcze głośniejszym głosem stary dowcip, który wszyscy w ministerstwie uważali za wyśmienity: — „Nie należałoby ich wysyłać na budę na inspe-

keję okrętów patrolujących pod Zorzą Poranna, bo zachorowaliby już na wodnych omnibusach¹.

Jednakże pani Caravan zachowała nadal powagę, jak gdyby nie dosłyszała, a następnie mruknęła drapiąc się zwolna po brodzie: — „Gdyby tak mieć w zanadru choć jednego deputowanego²! Jeśliby Izba³ dowiedziała się o wszystkim, co się tam dzieje, minister wyleciałby jak z procy...”

Zdanie to przerwały rozlegające się na schodach krzyki. Powracając z rynsztoków Maria Ludwika i Filip August wymieniali na każdym schodku policzki i kopniaki. Matka przypadła do nich, chwyciła każde za ramię, potrząsnęła potężnie i cisnęła obydwójkiem w głąb mieszkania.

Spostrzegłszy ojca dzieci rzuciły się ku niemu, on zaś całował je czule i długo, a usiadłszy wziął je na kolana i uciał sobie z nimi małą pogawędkę.

Rozczochrany i brudny od stóp do głów Filip August był szkaradnym dzieciakiem z twarzą kretyna. Maria Ludwika upodobniła się już do matki, mówiła tak samo jak matka, powtarzała jej słowa i naśladowała nawet jej ruchy. I ona zapytała: — „Jest co nowego w ministerstwie?” — Ojciec odpowiedział wesoło: — „Twój przyjaciel Ramon, który przychodzi tu co miesiąc na obiad, opuszcza nas, córuniu. Mamy nowego naczelnika na jego miejsce”. — Podniosła oczy na ojca i rzekła z ubolewaniem dziecka przedwcześnie dojrzałego: — „No, to jeszcze jeden cię ubiegi”.

Ojciec przestał się śmiać i nie odrzekł nic. Chcąc natomiast skierować rozmowę na inne tory, zwrócił się do żony,

¹ Wodny omnibus — mały stateczek utrzymujący komunikację w Paryżu wzdłuż Sekwany.

² Deputowany — poseł do niższej izby parlamentu (sejmu) francuskiego.

³ Izba — parlament francuski składał się z dwóch jakby stopni: niższy zwał się Izba Poselską, wyższy Izba Senatorską, czyli senatem.

która czyściła z kolei szyby, i zapytał: — „Mama czuje się dobrze?”

Pani Caravan zaprzestała swej pracy, obróciła się i na-prostowawszy czepek, który zjechał jej zupełnie na plecy, wymówiła drżącymi wargami:

— „Dlaczegoby nie! Pomówmy o twojej matce! Wyobraź sobie, że ledwo tu przyszła żona fryzjera, pani Lebaudin, aby pożyczyć torebkę krochmalu, a ja ledwom na chwilę wyszła, twoja matka zwymyślała ją od dziadówek i przegnała. Oporządziłam staruchę tak samo. Udała, że nic nie słyszy, jak zawsze, gdy się jej mówi słowa prawdy, chociaż sam wiesz, że nie jest głuchsza ode mnie. Zawsze to udawanie. Dowodem tego, że poszła do siebie natychmiast bez słowa“.

Caravan milczał zmieszany. Przybiegła mała służąca i zameldowała, że obiad na stole. Wziął więc stojący zawsze w kącie kij od miotły i uderzył nim trzy razy w sufit, aby w ten sposób zawiadomić matkę. Wszyscy przeszli do jadalni, a pani Caravan młodsza nalewała zupe, oczekując na panią Caravan starszą. Ta jednak nie przychodziła, a zupa stygła. Zaczęto więc powolutku jeść. Oczekiwano jeszcze wtedy, gdy opróżniły się talerze. Wściekła pani Caravan zwała wszystko na męża: — „Wiesz, że ona to robi naumyślnie, a ty jej stale bronisz“. — Zupełnie bezradny Caravan nie stanął po niczyjej stronie, posłał tylko Marię Ludwikę po babcię, a sam trwał nieporuszony, podczas gdy jego żona stuknęła z irytacją końcem noża w nóżkę od kieliszka.

Drzwi otworzyły się nagle i ukazało się w nich dziecko samo, poblądłe i bez tchu. Rzekło z pośpiechem: — „Babcia leży na ziemi“.

Caravan zerwał się na równe nogi i cisnąwszy serwetkę na stół, rzucił się ku schodom, gdzie zabrzmiał wkrótce jego krok ciężki i prędko. Żona, spodziewając się jakiegoś podstępu ze strony teściowej, poszła wolniej, wzruszając pogardliwie ramionami.

Stara leżała jak długa, twarzą do ziemi pośrodku pokoju, a gdy syn ją obrócił, ujrzeli postać nieruchomą i wyschłą, ze skórą pożółkłą, pomarszczoną i jakby wygarbowaną, z oczami zamkniętymi, zaciętymi zębami, ze sztywnością chudych członków.

Ukląkwszy przy niej, Caravan mówił z jękiem: — „Mamo, moja biedna mamo!“ — Ale młodsza pani Caravan orzekła, przypatrzawszy się starszej: — „Et tam, to tylko omdlenie, nic więcej. Zrobiła tak, żeby nam przeszkodzić w obiedzie, możesz być tego pewny“.

Zaniesiono ciało do łóżka, rozebrano je całkowicie i wszyscy, Caravan, jego żona i służąca, wzięli się do nacierania. Jednakże pomimo wszelkich wysiłków stara nie odzyskała przytomności. Wobec tego posłano Rozalię po doktora Chenet, który mieszkał na bulwarze w stronę Suresnes. Było to dość daleko, długo więc oczekiwano. Nareszcie przybył, a obejrzawszy, opukawszy i osłuchawszy starą kobietę, zaurokował: — „Skończone“.

Caravan powalił się na ciało, wstrząsany gwałtownym łkaniem. Konwulsyjnie całował zdrętwiałą twarz matki, płacząc tak rzęsiście, że grube łzy padały niby krople wody na oblicze umarłej.

Pani Caravan uległa atakowi przyzwoitego smutku i stojąc nad swym małżonkiem słabo pojękiwała, uporczywie wycierając sobie oczy.

Caravan miał twarz obrzękłą i mizerne włosy w nieładzie. Był bardzo brzydki w swym prawdziwym bólu. Podźwignął się nagle. — „Ale — zapytał — czy jest pan pewny, doktorze? Czy jest pan zupełnie pewny?“ Oficer sanitarny zbliżył się wartko i dotykając trupa z zawodową sprawnością, jak kupiec, który chce zachwalić swój towar, powiedział: — „Spójrz dobrodzieju, przyjrzyj się oku“. Podniósł powiekę, a oko starej kobiety ukazało się pod jego palcami bynajmniej nie przywrócone do życia, chociaż ze źrenicą nieco może za szeroką. Caravan poczuł cios w sercu i trwoga przeszła go

na wskroś. Uniósłszy zwarte w skurczu ramię i spróbowałszy siłą otworzyć palce, pan Chenet dodał z gniewem jak gdyby w obliczu przeciwnika: — „Niechże pan popatrzy na tę rękę! Ja się nigdy nie myślę, niech pan będzie spokojny“.

Caravan, prawie wyjąc, runął znowu jak podcięty na łóżko. Tymczasem jego żona, wciąż siłąc się na łzy, zajęła się najpilniejszymi sprawami. Przysunęła do łóżka szafkę nocną, nakryła ją serwetką, ustawiła na niej i zapaliła cztery świece, wzięła zza lustra przy kominku gałązkę bukszpanu i położyła ją pomiędzy świecami na talerzyku, napelnionym — w braku święconej — wodą zwykłą. Jednakże po krótkim namyśle wrzuciła do tej wody szczyptę soli, wyobrażając sobie z pewnością, że dokonała przez to pewnego rodzaju konsekracji.¹

Stworzywszy w ten sposób scenę, która w jej mniemaniu powinna była towarzyszyć śmierci, pozostała nieruchoma, w postaci stojącej. Oficer sanitarny, pomógłszy jej w rozstawieniu przedmiotów, powiedział szeptem: — „Należy odprowadzić Caravana“. Uczyniła znak zgody i podszedłszy do swego małżonka, który łkał trwając wciąż na klęczkach, podźwignęła go za jedno ramię, a doktor Chenet ujął pod drugie.

Posadzono go na razie w fotelu, a żona, całując męża po czole, wygłosiła doń kazanie. Oficer sanitarny poparł jej wywody, zalecając opanowanie, dzielność i rezygnację, a więc wszystko, na co człowiek nie może się zdobyć w chwili miażdżącego go nieszczęścia. Potem obydwójce wzięli znowu Caravana pod ręce i sprowadzili na dół.

Rozklekotany, z opadłymi ramionami i osłabłymi nogami płakał jak duże dziecko, zanosząc się konwulsyjnie. Zszedł do schodów, nie wiedząc, co czyni, machinalnie poruszając nogami.

¹ Konsekracja — przemienienie, przelstoczenie. zwykłej wody w święconą.

Usadowiono go w tym samym fotelu, który zawsze zajmował przy stole, przed prawie opróżnionym talerzem, gdzie łyżka tkwiła w resztkę zupy. Pozostał tak nieporuszony, z oczyma utkwionymi w kieliszek, do tego stopnia otepiły, że nie istniała w nim najdrobniejsza myśl.

Pani Caravan rozmawiała na uboczu z doktorem, dowiadywała się o formalności, prosiła o różne wskazówki praktyczne. Pan Chenet, który zdawał się na coś oczekiwać, wziął na koniec kapelusz, uklonił się i chciał wyjść, oświadczając, że jest jeszcze bez obiadu.

— Co? Pan jest bez obiadu? — wykrzyknęła wtedy pani Caravan. — Ależ niech pan zostanie, doktorze, koniecznie niech pan zostanie. Zaraz się panu poda to, co jest w domu. Bo rozumie pan, że nie mamy żadnych wspaniałości.

Doktor wzbraniał się i wymawiał. Pani Caravan nalegała:

— Ależ cóż znowu! Niech pan zostanie! W takich chwilach jest szczęściem mieć kogoś z przyjaciół koło siebie. A poza tym nakłoniłby pan może mojego męża, aby się nieco pokrzepił. Potrzeba mu tyle sił!

Doktor skłonił się, położył kapelusz na najbliższym sprzęcie i rzekł: — W takim razie przyjmuję, proszę pani.

Wydawszy polecenia ogłupiałej Rozalii, pani Caravan sama również siadła przy stole, „aby udawać, że je“, jak powiedziała, i aby dotrzymywać towarzystwa doktorowi.

Zupę zjedzono na zimno. Pan Chenet poprosił o dolanie. Następnie ukazał się półmisek lionskich flaków, rozprzestrzeniając zapach cebuli. Pani Caravan zdecydowała się skosztować. — „Są wyśmienite“ — powiedział doktor. Uśmiechnęła się: — „Nieprawdaż?“ A zwróciwszy się do męża, dodała: — „Weźże trochę, kochany Alfredzie, weź po prostu dlatego, żeby coś włożyć do żołądka. Pamiętaj, że masz przed sobą całą noc“.

Podał talerz potulnie, jak gdyby po dziecięcemu kładł się na rozkaz do łóżka. Spełniał wszystko bez sprzeciwu i bezmyślnie. Jaki.

Doktor usługiwał sobie sam i czerpał już trzykrotnie z półmiska, a pani Caravan nabijała od czasu do czasu grubszy kąsek na koniec widelca i połykała z pewnym rodzajem sztucznej nieuwagi.

Gdy ukazała się salaterka, pełna zapiekanego makaronu, doktor rzekł z cicha: — „Tam do licha! To coś dobrego“. Tym razem pani Caravan usłużyła wszystkim. Napelniła nawet spódki wykradających przysmak dzieci, które poza tym, korzystając z nieuwagi starszych, piły nierozcieńczone wino i zaczęły się już atakować pod stołem kopniakami.

Pan Chenet zapragnął wystąpić jako znawca Italii, przypomniał więc upodobania Rossiniego¹ — Ależ to się rymuje! — zawołał nagle. — Można by rozpocząć utwór wierszowany:

Maestro² Rossini powiadał,
że za makaronem przepadał.

Nie słuchano go wcale. Pani Caravan popadła nagle w zadumę, przyszły jej bowiem na myśl wszystkie prawdopodobne skutki wydarzenia. Jej małżonek ugniatał tymczasem kulki z chleba, które układał następnie na obrusie i przyglądał się im uporczywym wzrokiem idioty. Jakieś gorejące pragnienie pożerało mu gardło, podnosił więc raz po raz kieliszek z winem do ust. Jego umysł, już i tak doprowadzony do upadku zmartwieniem, zachwiał się od wina jeszcze bardziej i zdawał się tańczyć w wyziewach rozpoczynającego się ociężałe trawienia.

Co do doktora, to ten wlewał w siebie wino jak do dzurawej beczki i wyraźnie sobie podochocił. Również pani Caravan, poddając się reakcji, która następuje po każdym wstrząsie nerwowym, wykazywała w swym ciągłym zachynu-

¹ Rossini Joachim (1792—1868) — sławny muzyk włoski, autor m. in. popularnych oper i operetek; od 1824 do 1836 i od 1855 do śmierci mieszkał w Paryżu.

² Maestro — (włos.) — mistrz.

zeniu jakiś niepokój, a chociaż piła tylko wodę i jej mąciło się w głowie.

Pan Chenet począł opowiadać historię różnych zejść, które wydały mu się zabawne. Na tym przedmieściu paryskim, zamieszkałym przez ludność napływającą z prowincji, istnieje chłopska obojętność wobec śmierci — wszystko jedno, czy umarłym jest ojciec czy matka — jakieś lekceważenie śmierci i nieświadome wobec niej okrucieństwo, tak powszechnę na wsi, a tak rzadkie w samym Paryżu. Powiedział: — „Ot proszę! Zeszłego tygodnia wezwano mnie na ulicę de Puteaux, więc biegnę. Zastaję chorego leżącego bez życia obok łóżka, a domowników kończących spokojnie butelkę anyżówki, kupioną wczoraj dla zaspokojenia któregoś z kaprysów umierającego“.

Jednakże pani Caravan nie słuchała, myśląc bez przerwy o spuściznie, a opustoszały mózg Caravana nie mógł pojąć najdrobniejszej rzeczy.

Podano kawę specjalnie mocną, aby podnieść wszystkich na duchu. Każda filiżanka, zakrapiana koniakiem, wywoływała na policzki nagłą czerwień i mąciła ostatnie myśli w umysłach i tak już zachwianych.

Z kolei doktor zawiądnął niespodziewanie butelką wódki i rozlał wszystkim po płóczy. Przystano rozmawiać. Wszyscy, rozleniwieni słodkim ciepłem trawienia, opanowani mimo woli zwierzęcym błogostanem, w jaki wprawia alkohol pity po obiedzie, płukali sobie powoli gardła słodzonym koniakiem, który zamienił się w żółty syrop na dnie filiżanek.

Dzieci zasnęły, a Rozalia ułożyła je na posłaniach.

Caravan, podlegając machinalnie potrzebie odurzenia, która pojawia się w każdym nieszczęściu, napił się znowu kilkakrotnie wódki. Jego otępiełe oczy zabłysły.

Doktor nareszcie wstał i zaczął się żegnać. Chwycił rękę przyjaciela i powiedział:

— Niech pan wyjdzie ze mną. Trochę powietrza zrobi panu dobrze. Gdy się ma przykrości, należy używać ruchu.

Tamten usłuchał potulnie włożył kapelusze, wziął łaskę i był gotów. Trzymając się pod rękę, poszli obydwoj popod jasnymi gwiazdami ku Sekwanie.

Wonne powiewy polatywały wskroś ciepłej nocy, albowiem wszystkie okoliczne ogrody były o tej porze roku pełne kwiatów, których uśpiony za dnia zapach zdawał się budzić z nadejściem wieczoru i mieszać z lekkimi wietrzykami, przepływającymi w ciemnościach.

Szeroka aleja z rzędami latarni gazowych, wydłużających się aż do Łuku Tryumfalnego, była pusta i cicha, się dalej szumiał Paryż w czerwonej mgłę. Był to rodzaj nieustannego turkotu, któremu zdawał się odpowiadać niekiedy z daleka poprzez równinę gwizd pociągu, nadlatującego pełną parą ku miastu albo mknącego poprzez departamenty¹ ku oceanowi.

Na dworze powietrze uderzyło obu mężczyzn w twarz, zaskoczyło ich obydwu, a u Caravana spotęgowało zawrót głowy, którego dostał podczas obiadu. Szedł jak gdyby we śnie, z ociężałą głową, bezwładny, wyzuty ze smutku, ogarnięty jakąś drętwością ducha, która nie pozwalała mu cierpieć. Doznawał nawet pewnej ulgi, rosnącej wraz z napływem ciepłych tchnień rozproszonych wśród nocy.

Doszedłszy do mostu, skierowali się na prawo, a wtedy rzeka rzuciła im w twarz świeże powiewy. Sunęła melancholijnie i spokojnie za kotarą z topól, a dwie potrząsane przez prąd gwiazdy zdawały się pływać po wodzie. Delikatna i biaława mgła, unosząca się po drugiej stronie, przynosiła płuciom pachnącą wilgoć. Caravan zatrzymał się gwałtownie, uderzony zapachem rzeki, budzącym w jego sercu zamierchłe wspomnienia.

Zobaczył naraz swą matkę, tę dawną matkę z dzieciństwa, jak kłęczy pochylona opodal drzwi ich domu w dalekiej Pi-

¹ Departament — we Francji nazwa ówczesnego obwodu administracyjnego.

kardii¹ i pierze w przepływającym przez ogród strumyku ułożoną w stos obok niej bieliznę. Wskroś spokojnej ciszy wiejskiej usłyszał wołający nań głos matki: „Alfred, przynieś mi mydło!“ Czuł ten sam zapach bieżącej wody, widział tę samą mgłę ulatującą ze zroszonej ziemi, ów bagnisty opar, którego smak przetrwał w nim niezapomniany, a który odnalazł w sobie tego wieczoru, gdy umarła mu matka.

Stała, zeszywniała w ponownym ataku szalonej rozpacz. Był to jak gdyby błysk światła, znienacka ukazujący nieszczęście w jego całej rozciągłości. Spotkanie z wędrownym powiewem pogrążyło go w czarnej otchłani cierpień, na które nie było ratunku. Pochuł, że serce rozdziera mu się od bezgranicznej samotności. Przecięto mu życie w połowie, a jego młodość znikła, pochłonięta przez tę śmierć. Skończyło się wszelkie „niegdyś“, umknęły wspomnienia młodości. Nikt już nie potrafiłby doń mówić o rzeczach dawnych, o ludziach, których ongi znał, o nim samym, o serdeczności minionego życia. Ta część jego bytu przestała istnieć. Teraz kolej, na niego samego.

Rozpoczął się przemarsz wspomnień. Ujrzał znów „mame“ młodszą, ubraną w zużyte suknie, które nosiła tak długo, że zdawały się być nie rozdzielne od jej osoby. Odnajdywał ją wśród tysiąca zapomnianych okoliczności, odnajdywał jej zatarłe rysy, jej gesty, brzmienia głosu, przyzwyczajenia, pasje, gniewy, zmarszczki na jej twarzy, ruchy jej chudych palców, wszelakie pozy domowe, których już nie przybierała.

Uczepliwszy się doktora, pojękiwał raz za razem. Drżały pod nim sflaczałe nogi, a gruby korpus wstrząsały łkania. Belkotal: — „Moja matka, moja biedna matka, moja biedna matka“.

Atoli jego przyjaciel, nadal pijany i marzący o zakończeniu wieczoru w jednym z tych miejsc, które potajemnie odwiedzał, zniecierpliwiał się tym ostrym atakiem smutku. Posa-

¹ Pikardia — północno-wschodnia prowincja Francji.

dził więc Caravana na trawę i prawie natychmiast opuścił go pod pozorem wizyty u chorego.

Caravan płakał długo, a gdy zabrakło mu łez, gdy cierpienie — by tak rzec — spłynęło ze łzami, doznał ponownej ulgi, odpoczynku i nagłego uspokojenia.

Wszedł księżyc, zalewając horyzont łagodnym światłem. Srebrne połyski wspinały się na wysokie topole, a mgła na równinie zdawała się być stworzona z powiewnego śniegu. Rzeka, po której szybowało coraz więcej gwiazd, płynęła nieustannie, jak gdyby pokryta masą perłową i marszczona polyskliwymi dreszczami. Powietrze było miękkie, wiatr pachnący. Jakaś ciepła łaskawość krążyła wśród snu ziemi i Caravan pił tę słodycz nocy. Oddychał głęboko, a całe jego ciało zdawało się napawać świeżością, ciszą i nadludzką pociechą.

Opierał się najściu tego błogostanu i powtarzał: — „Moja matka, moja biedna matka“, pobudzając się do płaczu wymową sumienia człowieka przyzwoitego, ale nie mógł już płakać. Ani cień zasmucenia nie kładł się na jego myśli, które jeszcze przed chwilą nakazywały mu łkać tak nadmiernie.

Podniósł się tedy i z sercem uspokojonym poszedł wolnym krokiem w drogę powrotną, otoczony obojętnym spokojem pogodnej natury.

Gdy doszedł do mostu, spostrzegł latarnię gotowego do odejścia ostatniego tramwaju, a z tyłu poza nim oświetlone okna kawiarni „Globe“.

Uczuł potrzebę opowiedzenia komukolwiek o swej katastrofie, potrzebę wywołania współczucia i okazania się interesującym. Przybrał żaloszny wyraz twarzy, pchnął drzwi lokalu i podszedł do lady, za którą zawsze tronował właściciel. Liczył na wrażenie, jakie sprawi swoją osobą, liczył na to, że wszyscy powstaną z miejsc i podejdą doń z wyciągniętymi rękami, zapytując: — „Cóż to się panu stało?“ — Jednakże nikt nawet nie zauważył smutku na jego twarzy. Oparł się tedy

łokciami na ladzie i ukrywszy czoło w dłoniach szepnął: „Boże, Boże“.

Właściciel spojrział nań uważnie. — „Czy pan jest chory, panie Caravan?“ — zapytał. — „Nie, mój drogi przyjacielu — odpowiedział Caravan — to moja matka umarła“. — Tamten rzucił z roztargnieniem przelotne „ach“, a gdy któryś z gości zawołał z głębi lokalu: — „Proszę duże piwo!“ odpowiedział olbrzymim głosem: — „Tak, w tej chwili już daję“ i poskoczył, aby obsłużyć klienta, pozostawiając samemu sobie osłupiałego Caravana.

Przy tym samym co przed obiadem stole trzech amatorzy domina grali nadal pochłonięci i nieruchomi. Poszukując współczucia Caravan zbliżył się do nich. Gdy nikt z trójki zdawał się go nie dostrzegać, on sam zdecydował się do nich zagadać. — „Dopiero co — powiedział — spotkało mnie wielkie nieszczęście“.

Wszyscy trzech w tej samej chwili unieśli nieco głów, ale trwali nieruchomym spojrzeniem na trzymany w rękę kamieniach do gry — „No, cóż takiego?“ — „Moja matka umarła“. — Ktoś mruknął: — „Tam do licha!“ — tonem fałszywego współczucia, w które przyobleka się obojętność. Ktoś drugi, nie zdoławszy wpaść na lepszy pomysł, wydobył z siebie coś w rodzaju smutnego poświstu. Trzeci powrócił już do gry, jak gdyby pomyślał: — „Tylko tyle“.

Caravan oczekiwał jednego z tych słów, o których się mówi, że „wychodzą wprost z serca“. Dostrzegłszy, jak go przyjęto, oddalił się oburzony tym spokojem wobec cierpień przyjaciela, mimo że w tej chwili cierpienia przytępiły się tak bardzo, że nie odczuwał ich wcale.

Wyszedł z lokalu.

Żona oczekiwała nań, siedząc w nocnej koszuli na stołeczku przy otwartym oknie. Rozmyślała nieustannie nad sprawami spadkowymi.

— Rozbierz się — powiedziała — będziemy rozmawiać, gdy się położymy.

Podniósł głowę i zapytał, wskazując oczami na sufit: — „Ale... tam na górze... jest kto?“ — „A coś ty myślał? Jest przy niej Rozalia, którą zastąpisz o trzeciej rano, gdy się trochę przedrzemiesz“.

Pomimo to nie zdjął kalesonów, aby być gotowym na wszelki wypadek, obwiązawszy zaś głowę fularową chustką poszedł w ślad za żoną, która wsunęła się już do łóżka.

Przez pewien czas pozostawali w postawie siedzącej jedno obok drugiego. Pani Caravan rozmyślała.

Nawet o tej porze nakrycie jej głowy było przyozdobione różową kokardą i przechylone nieco na jedno ucho, jak gdyby wskutek nieprzewyciężonego nałogu wszystkich czepków, jakiegokolwiek nosiła.

Obróciła nagle twarz w stronę męża. — „Orientujesz się, czy twoja matka zrobiła testament?“ — zapytała. Ociągał się z odpowiedzią: — „Sądzę... sądzę, że nie... Nie, na pewno nie, nie zrobiła testamentu“. — Pani Caravan spojrziała mężowi w oczy i mówiła wściekłym szeptem: — „Ależ to niegodziwość! Sam widzisz! Bo ostatecznie od dziesięciu lat żyjemy się, aby ją pielęgnować, mieszka u nas, żywimy ją! Twoja siostra nie uczyniła dla niej tyle, a ja postąpiłabym tak samo, gdybym wiedziała, jak się odwdzięczy! To hańba dla jej pamięci! Chcesz mi może powiedzieć, że płaciła za życie? To prawda, ale za opiekę doznaną od swych dzieci nie płaci się pieniędzmi: okazuje się im wdzięczność w pośmiertnym testamencie. Tak postępują ludzie rzetelni. Wtedy byłabym wynagrodzona za swoje trudy i kłopoty. Piękna historia! Wspaniała!“

Nie posiadający się z przerażenia Caravan powtarzał co chwila: — „Kochanie, kochanie, proszę cię, błagam cię!“

Uspokoila się na koniec i powróciwszy do tonu zwykłego, podjęła: — „Jutro rano trzeba będzie zawiadomić twą siostrę“.

Caravan poderwał się na łóżku: — „Oczywiście! Nie pomyślałem o tym. Wyślę telegram, gdy się tylko rozwidni“. — Powstrzymała go — żona, która wszystko przewidywała: — „Nie, wystarczy, gdy wyślesz o dziesiątej albo o jedenastej, abyśmy mieli czas się opamiętać. Z Charenton jest do nas najwyżej dwie godziny drogi. Nie będzie żadnej kompromitacji, jeżeli nawet zawiadomi się dopiero przed południem“.

Caravan stuknął się w czoło i rzekł głosem zatrwożonym, którym posługiwał się zawsze, gdy mówił o swym przełożonym, bo sama myśl o nim wprawiała go w drżenie: — „Trzeba również zawiadomić ministerstwo“. — „Po co zawiadamiać? — odpowiedziała. — W podobnych okolicznościach jest zawsze wytłumaczone, że się o czymś zapomniało. Nie zawiadamiaj, możesz mi zaufać. Postawisz naczelnika w nieładzie kłopotcie, gdy ci nic nie będzie mógł powiedzieć“. — „O tak — odrzekł — i to w tym jego osławionym gniewie, gdy zobaczy, że nie przyszedłem. Tak masz rację, to świetny pomysł. Gdy mu zakomunikuję, że moja matka umarła, nie będzie mógł pisać ani słowa“.

I zachwycony farsą urzędnik zatarł ręce na myśl o zdębiałej minie swego przełożonego, podczas gdy ponad nim ciało starej kobiety spoczywało obok pogrążonej we śnie służącej.

Pani Caravan zatroskała się, jak gdyby opanowało ją coś trudnego do wyrażenia. Zdecydowała się wreszcie: — „Twoja matka dała ci przecież zegar, ten z bawiącą się wachadłem dziewczyną? Czyż nie tak?“ Poszperawszy w pamięci, odrzekł: — „No tak, powiedziała (ale to już było dawno, wtedy, gdy się do nas sprowadziła), powiedziała mi tak: „Dostaniesz ten zegar, jeżeli będziesz dbał o mnie“.

Uspokojona pani Caravan rozpegodziła się: — „Sam widzisz, że należy go znieść na dół, bo gdy zjawi się twoja siostra, nie pozwoli nam go tknąć“. Wyraził powątpiewanie: — „Myślisz?“ — Rozgniewała się: — „Oczywiście, że myślę. Natomiast gdy go raz wreszcie u siebie postawimy, będzie nasz. Nikt go nawet nie pozna. Tak samo komoda z jej pokoju, ta z marmurowym wierzchem. Podarowała mi ją któregoś dnia, gdy była w dobrym humorze. Zniesiemy ją również“.

Caravan zdawał się nie dowierzać: — „Ależ to wielka odpowiedzialność, kochanie“. Obróciła się do niego z wściekłością: — „Aha! Rzeczywiście! Czy ty się nigdy już nie zmienisz? Pozwolisz raczej twoim dzieciom poumierać z głodu, nim ruszysz palcem. Od tej chwili, gdy mi ją dała, komoda jest nasza. No nie? A jeśli twoja siostra nie będzie zadowolona, to porozmawia ze mną. Ze mną! Kpię sobie z twojej siostry. No, wstawaj! Zniesiemy natychmiast dary twojej matki“.

Drżący i pokonany Caravan wyszedł z łóżka. Chciał włożyć spodnie, ale żona powstrzymała go, mówiąc: — „Szkoda fatygi na ubieranie się, idź tak, jak jesteś, wystarczy. Ja też idę tak, jak jestem“.

I obydwójce wyruszyli w nocnej bieliźnie, wstąpili bezszelstnie na schody, ostrożnie otwarli drzwi i weszli do pokoju, gdzie jedynie cztery palące się wokół talerza z poświęcanym bukszpanem świece zdawały się strzec i starej, i jej drętwego snu, gdyż Rozalia rozparta w fotelu, z nogami wyciągniętymi przed siebie, rękami skrzyżowanymi na sukience, z opadłą na bok głową, tak samo nieruchoma i z ustami również uchylonymi, spała lekko pochrapując.

Caravan wziął zegar. Był to jeden z tych dziwacznych przedmiotów, jakich wiele wyprodukowała sztuka cesar-

stwa¹ Zrobiona z pozłacanego brązu dziewczyna z głową przydobioną rozmaitymi kwiatami, trzymała w ręku zabawkę, której gałka służyła za wahadło. — „Daj mi to — powiedziała żona — a sam weź płytę z komody“.

Posłuchał wdychając i z wielkim wysiłkiem zarzucił sobie płytę na ramię.

Obydwoje skierowali się ku wyjściu. Caravan ugiął się w drzwiach i drżąc począł schodzić ze schodów. Żona postępowała tyłem, świecąc mężowi jedną ręką, a trzymając zegar pod drugą.

Gdy zeszli na dół do siebie, pani Caravan wydała z siebie głębokie westchnienie. — „Najważniejsze zrobione — rzekła. — Pójdziemy teraz po resztę“.

Atoli w szufladach od komody było pełno gałganów starej. Wpadało to gdzieś pochować.

Pani Caravan wpadła na pomysł: — „Idź przynieś z przedpokoju ten kufer z jodłowego drzewa. Niewart jest nawet czterdziestu sous, można go tu postawić“. — A gdy kufer znalazł się na swym nowym miejscu, zabrano się do przekładania rzeczy.

Wydobywali kolejno rękawki, kołnierzyki, koszule, czepki, wszelakie ubogie szmatki starowiny, leżącej na łóżku za nimi. Układali to wszystko w drewnianym kufrze metodycznie i w ten sposób, aby można było oszukać mającą przybyć nazajutrz panią Braux, drugie dziecko nieboszczki.

Gdy uporano się z przekładaniem, zniesiono najpierw szuflady, a następnie sam kadłub mebla. Długo zastanawiali się obydwójce, w którym miejscu komodę najlepiej będzie postawić. Wreszcie zdecydowano się na sypialnię i wybrano miejsce pomiędzy dwoma oknami naprzeciwko łóżka.

¹ Sztuka cesarstwa — w czasie panowania cesarza Napoleona I (panował 1804—1814) rozwinął się odrębny rodzaj sztuki, który w sprzętach domowych zaznaczył się zamiłowaniem do ozdób, brązów, kolumnenek.

I tu stanęła komoda, a pani Caravan nakładła do niej zaraz swej własnej bielizny. Zegar postawiono na kominiku w jadalni. Małżonkowie uważnie zlustrowali osiągnięty efekt i natychmiast popadli w głęboki zachwyt. — „Świetnie wygląda“ — powiedziała żona. — „Świetnie“ — powtórzył mąż. Wobec tego poszli spać. Żona zdmuchnęła świecę i po chwili na obydwu piętach nie było nikogo, kto by nie był pogrążony we śnie.

Był już biały dzień, gdy Caravan ponownie otworzył oczy. Miał umysł zmęczony od snu, tak że dopiero po kilku minutach przypomniał sobie wczorajsze wydarzenia. Wspomnienie o tym równało się potężnemu uderzeniu w pierś, wyskoczył więc z łóżka, na nowo do głębi poruszony i gotowy do płaczu.

Wspiął się czym prędzej do pokoju na górze, gdzie Rozalia jeszcze spała wciąż w tej samej pozycji co wczoraj, chociaż zdążyła przespać całą noc. Odesłał ją do roboty, postawił nowe świece na miejscu wypalonych, a następnie począł wpatrywać się w matkę, wtłaczając sobie w mózg pozory myśli głębokich, owe banały¹ religijne i filozoficzne, które nawiedzają umysły pospolite w obliczu śmierci.

Jednakże zszedł zaraz, gdy go tylko żona zawołała. Sporządziła już listę spraw, które należy załatwić przed południem. Wręczyła mu kartkę z przerażającą nomenklaturą².

Czytał:

1. złożyć w merostwie³ zameldowanie zgonu;
2. zawezwać lekarza urzędowego dla stwierdzenia zgonu;
3. zamówić trumnę;
4. pójść do kościoła;

¹ Banał — zwrot lub powiedzenie oklepane, pospolite.

² Nomenklatura — zbiór wyrazów właściwy jakiejś dziedzinie, przeważnie dziedzinie nauki lub sztuki.

³ Merostwo — urząd gminny (miejski lub wiejski).

5. do zakładu pogrzebowego;
6. do notariusza;
7. zamówić w drukarni zawiadomienia o pogrzebie;
8. zatelegrafować do rodziny.

A ponadto całe mnóstwo spraw drobniejszych. Wziął więc kapelusz i poszedł.

Tymczasem nowina już zdążyła się rozejść. Zaczęli nadchodzić sąsiedzi, prosząc o zaprowadzenie ich do zmarłej.

U fryzjera na parterze rozegrała się nawet na tym tle scena pomiędzy jego żoną a nim samym w czasie golenia klienta.

Robiąc na drutach pończochę, żona mruknęła: — „O jedną mniej, i to o taką skąpicę, jakich niewiele na świecie. To prawda, że bardzo jej nie lubiłam, wypada jednak pójść do niej zaraz“.

Mydląc brodę pacjenta, małżonek rzekł gderliwie: — „Patrzajcie, jakie fantazje! Kobiety są do tego jedyne. Nie dość, że pilują człowieka przez całe życie, to jeszcze nie chcą mu dać spokoju po śmierci“.

— Ale małżonka nie dała się zbić z tropu i odparła: — „To silniejsze ode mnie. Muszę pójść. Chodzi to koło mnie już od samego rana. Jeśli na nią nie popatrzę, to chyba będę myślała o tym przez całe życie. Ale jeśli przypatrzę się jej tak dobrze, że zapamiętam jej twarz, to będę później zadowolona“.

Zajęty goleniem mężczyzna wzruszył ramionami i zwierzył się panu, któremu skrobał policzek: — „Proszę tylko posłuchać, co za dzikie pomysły mają te przekłete baby! Mnie by tam nie bawiło oglądanie nieboszczyka!“

— Małżonka dosłyszała i odrzekła bynajmniej nie zmieszana. — „Właśnie tak, właśnie tak“. — I odłożywszy robotę na ladę, poszła na pierwsze piętro.

Przed nią przyszły już dwie sasiadki i rozmawiały na temat wypadku z panią Caravan, która opowiadała szczegóły.

Skierowano się do pokoju żałoby. Cztery kobiety weszły skradającym się krokiem, skropiły kolejno całun posoloną wodą, ukłękły, przeżegnały się mrużąc pod nosem pacierze, po czym podniosły się i długo z ustami na pół otwartymi przyglądały się rozszerzonymi oczyma trupowi, podczas gdy synowa nieboszczki ukryła twarz w chustce i udawała rozpaczliwą czkawkę.

Kiedy zwróciła się ku wyjściu, spostrzegła stojącą przy drzwiach Marię Ludwikę wraz z Filipem Augustem. Obydwoje byli w koszulach i przyglądali się z ciekawością.

Zapomniawszy tedy, o udawaniu smutku, rzuciła się na nich z podniesioną do bicia ręką i krzyknęła z wściekłością: — „Zabierać mi się stąd, uliczne nicponie!“

Gdy w dziesięć minut później weszła na górę z nowym gronem sąsiadek, gdy ponownie otrząsnęła bukszpan ponad swą świekrą¹, ponownie pomodliła się, popłakała i uczyniła zadość wszystkim swym powinnościom, spostrzegła, że dzieci po raz wtóry przybyły za nią. Wyszurchała je z obowiązku sumienia, ale gdy następnym razem przyszły znowu, przestała zwracać na nie uwagę. I tak za każdą nową partią odwiedzających postępowały bachory, przyklękały, naśladując matkę, w kąciku i powtarzały nieodmiennie za matką wszystkie jej czynności.

Z nastaniem popołudnia tłum ciekawych opadł. Wkrótce przestano przychodzić w ogóle. Zszedłszy na dół do siebie pani Caravan zajęła się przygotowaniami do uroczystości żałobnych, a nieboszczkę pozostawiono samą.

Okno w jej pokoju było otwarte. Wdzierał się przez nie tropikalny² upał wraz z kłębam kurzu. Płomyki czterech świec poruszały się nad nieruchomym ciałem, a po całunie,

¹ Swiekra — matka męża.

² Tropikalny — bardzo gorący; tropikami nazywamy kraje w pobliżu równika, gdzie klimat jest gorący, powietrze duszne, upalne.

po twarzy, po wyciągniętych wzdłuż ciała rękach wspinały się, łąziły, kręciły się i przechadzały nieustannie małe muszki, badając starą w oczekiwaniu na bliską już dla nich godzinę.

Maria Ludwika i Filip August wyszli na dwór, aby powaleśać się po alei. Natychmiast otoczyli ich rówieśnicy, a zwłaszcza małe dziewczynki, bystrzejsze od chłopców i wcześniej węszące za tajemnicami życia. Zadawały pytania niby osoby dorosłe. — „Twoja babka umarła?“ — „Tak, wczoraj wieczorem“. — „Jak wygląda umarły?“ — Wyjaśniając Maria Ludwika opowiadała o świecach, bukszpanie i twarzy nieboszczki. Straszna ciekawość opanowała dzieci i wszystkie zapragnęły również pójść do zmarłej.

Maria Ludwika zorganizowała niezwłocznie pierwszą wyprawę, złożoną z pięciu dziewczynek i dwu chłopców, najstarszych i najśmielszych. Zmusiła wszystkie dzieci do zdjęcia bucików, aby nie posłyszano przechodzących. Oddziałek wśliznął się do domu i lekko jak zastęp myszek pobiegł na górę.

W pokoju żałoby Maria Ludwika, naśladowując matkę, poczęła kierować ceremoniałem. Podprowadziła uroczyste koleżków i koleżanki, przyklękła, poruszyła wargami, po czym podniosła się i pokropiła łożko, a gdy się dzieci przybliżyły i zbiły w gromadkę, przestraszone, ciekawe i zachwycone, że mogą patrzeć na twarz i ręce umarłej, poczęła nagle udawać szlochanie, zakrywając oczy chusteczką do nosa. Pocięszyła się rychło myślą o innych dzieciach, które oczekiwały przed domem, pociągnęła w biegu za sobą całą gromadkę i czym prędzej przyprowadziła drugą, a później trzecią, ponieważ wszystkie łobuzy z dzielnicy aż do małych żebraków w lachmanach zbiegły się na wieść o nowej rozrywce. Za każdym razem powtarzała od początku i z absolutną doskonalością udany ceremoniał matki.

Ną koniec uczuła znużenie. Inna zabawa pociągnęła dzieci gdzie indziej, a stara babka pozostała sama, naprawdę zapomniana przez wszystkich.

Pokój napelniał się cieniem, a po suchej i zmarszczonej twarzy tańczyły światelka od chwiejnego płomienia świec.

Okolo dziesiątej zjawił się Caravan, zamknął okno i założył nowe świece. Wszedł teraz spokojny, przywyknawszy już do widoku trupa, jak gdyby ten przebywał tu już od miesięcy. Stwierdził nawet, że nie można jeszcze zauważyć żadnych objawów rozkładu i uczynił wobec żony na ten temat uwagę w chwili, gdy siadali do stołu. — „Ba! — odpowiedziała mu na to. — Ona jest z drewna, konserwowalaby się przez cały rok“.

Zjedzono zupeł w zupełnym milczeniu. Dzieci, którym pozostawiono swobodę przez cały dzień, drzemały zmordowane na krzesłach. Milczenie trwało.

Nagle światło lampy przygasło.

Pani Caravan podkręciła natychmiast knot, ale palnik wydał tylko pusty dźwięk, trzask głębokiej gardzieli i światło zgasło. Zapomniano kupić oliwy! Pójdzie do sklepu opóźniłoby obiad, rozejrzano się więc za świecami, ale okazało się, że nie ma w domu innych prócz tych, które palą się na nocnej szafce przy zmarłej.

Prędka w swoich decyzjach pani Caravan pchnęła czym prędzej Marię Ludwikę, aby przyniosła dwie świece z góry. Oczekiwano po ciemku.

Usłyszano wyraźnie kroki dziewczynki wchodzącej po schodach. Przez kilka sekund trwała cisza, po czym dziecko zbiegło pędem ze schodów. Kiedy otworzyło drzwi na dole, było jeszcze bardziej blade, wystraszone i poruszone niż wczoraj, gdy przyniosło wieść o katastrofie. Szepnęło tracąc dech: — „Och, tatusiu! Babcia się ubiera!“

Caravan zerwał się tak gwałtownie, że krzesło potoczyło się pod ścianę. Wyjąkał: — Co mówisz?... O czym ty mówisz?...

Dławiona wzruszeniem Maria Ludwika powtórzyła: — Ba... ba... babcia się ubiera... zaraz tu zejdzie.

Rzucił się jak oszalały ku schodom, a za nim pobiegła osłupiała żona. Jednakże przed drzwiami drugiego piętra Caravan zatrzymał się trwożnie i nie śmiał wejść. Co ukaże się jego oczom? Pani Caravan była śmielsza i nacisnąwszy kłamkę wtargnęła do wnętrza.

Wydawało się, że w izbie jest ciemniej. Po środku poruszał się wielki i chudy kształt. To stara była już na nogach. Budząc się ze snu letargicznego¹, zanim jeszcze odzyskała pełną świadomość, obróciła się na bok i podparta na łokciu zdmuchnęła trzy świece, które paliły się przy zamienionym na mary łóżku. Zyskawszy na siłach wstała i poczęła szukać swych fatalachów. W pierwszej chwili zdezorientowało ją zniknięcie komody, ale powoli znalazła na samym dnie drewnianego kufra wszystko, czego jej było potrzeba, i ubrała się najspokojniej w świecie. Wylawszy następnie wodę z talerza, założywszy na powrót gałązkę bukszpanu za lustro i ustawiwszy krzesła na zwykłych miejscach była gotowa do zejścia na obiad, gdy syn z synową zjawili się przed nią.

Caravan przyskoczył do matki, pochwycił ją za ręce i ucałował ze łzami w oczach, gdy tymczasem stojąca za nim żona powtarzała obłudnie: — „Co za szczęście! Och, co za szczęście!“

Stara nie wzruszyła się, nie okazała nawet po sobie, że cokolwiek rozumie. Szttywna jak posąg o lodowatym spojrzeniu zapytała jedynie: — „Czy obiad rychło będzie gotów?“ — Syn wybelkotał, tracąc głowę: — „Ależ tak, mamu, czekamy na ciebie“. I z niezwykłą gorliwością wziął ją pod ra-

¹ Sen letargiczny (letarg) — śmierć pozorna, długotrwały, głęboki sen mający pozór śmierci.

mię, podczas gdy pani Caravan młodsza pochwyciła świecę i oświetlała im drogę, schodząc tyłem przed nimi, krok za krokiem, tak samo, jak to czyniła ubiegłej nocy, gdy mąż dźwigał marmurowy wierzch z komody.

U stóp schodówomal że nie wpadła na wchodzących ludzi. Była to rodzina z Charenton, pani Braux z małżonkiem.

Wysoka i gruba kobieta z wodną puchliną w brzuchu, odrzucającym jej tors do tyłu, szeroko otworzyła oczy, gotowa do ucieczki. Jej mąż, szewc o przekonaniach socjalistycznych, niski mężczyzna, owłosiony aż po nos i zupełnie podobny z tym do małpy, mruknął z zimną krwią: — „No i cóż? Zmartwychwstaje!“

Poznawszy przybyłych pani Caravan poczęła im dawać rozpaczliwe znaki, a głośno powiedziała: — „Patrzajcie! To oni! Jakaż miła niespodzianka!“

Ale osłupiała pani Braux nie pojmowała nic. Odrzekła półgłosem: — „To przecież wyście nas wzywali depeszą. Sądziliśmy, że jest już po wszystkim“.

Mąż uszczypnął ją z tyłu, aby zamilkła, a sam dorzucił kryjąc złośliwy uśmiech w gęstej brodzie: — „To bardzo ładnie, żeście nas zaprosili. Przybyliśmy niezwłocznie“. W ten sposób uczynił aluzję¹ do nieprzyjaźni, która od dawna panowała pomiędzy obydwojma domami. A gdy stara postawiła nogę na ostatnim stopniu, podszedł do niej żwawo i zaatakował jej policzki pokrywającą mu twarz sierścią, krzyżąc jej zarazem do ucha, ponieważ była dotknięta głuchotą: — „Jak się mama czuje? Zawsze krzepko? He?“

W swym osłupieniu, że ogląda przy życiu tę, którą spodziewała się zastać martwą, pani Braux nie śmiała nawet matki pocałować i zagradzała swym olbrzymim brzuchem cały podest², nie dając nikomu dostępu.

¹ Aluzja — przymówka, przytyk.

² Podest — rozszerzony pomost między kondygnacjami schodów.

Stara była zaniepokojona i coś podejrzewała, ale nie puszczała pary z ust i przyglądała się tylko wszystkim dookoła siebie. Jej malutkie, szare oczy, ostre i badawcze, zatrzymywały się to na jednej osobie, to na drugiej i były pełne szczerych myśli, wprawiających dzieci w zakłopotanie.

Caravan powiedział wyjaśniająco: — „Była nieco cierpiąca, ale teraz czuje się już zupełnie dobrze. Prawda, mammo?“

Starowina ruszyła z miejsca, odpowiadając głosem łamiącym się i jak gdyby dalekim: — „To było omdlenie. Słyszałam was przez cały czas“.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Przeszedłszy do jadalni, wszyscy usiedli do naprędce sporządzonego obiadu.

Jedynie pan Braux zachował równowagę umysłu. Stroił miny swą twarzą złośliwego goryla i puszczał wprawiające wszystkich w jawne zakłopotanie słówka o podwójnym znaczeniu.

W przedpokoju dźwięczał co chwila dzwonek i nieprzytomna Rozalia przychodziła po Caravana, który wybiegał odrzucając serwetkę, aż go szwagier zapytał, czy dziś przyjmuje gości. — „Nie, to ze sklepu, nic takiego“ — wydobył z siebie Caravan.

Z kolei przyniesiono pakiet, a gdy go nieopatrznie otworzył, ukazały się otoczone czarną obwódką zawiadomienia o pogrzebie. Zaczerwieniwszy się aż po same białka, zapakował wszystko na powrót i schował za kamizelkę.

Matka i tak tego nie spostrzegła, gdyż patrzyła uparcie na zegar. Poziłacana zebawka kołysała się na kominku. Zakłopotanie rosło wśród martwej ciszy.

W oczach starej ukazał się zły błysk, gdy obracając ku córce pomarszczoną twarz czarownicy wyrzekła: — „W poniedziałek przyprowadzisz mi swą małą, chcę ją zobaczyć“.— Pani Braux zawołała z rozjaśnioną twarzą: — „Tak jest, mammo!“ Tymczasem pani Caravan młodszą poblądła i zamaria z trwogi.

Atoli obydwaj mężczyźni wdali się z wolna w rozmowę i rozpoczęli z jakiegoś błahego powodu dyskusję polityczną. Braux głosił hasła rewolucyjne i komunistyczne. Miotał się z płonącymi w brodatej twarzy oczyma krzycząc: — „Własność, mój panie, jest kradzieżą dokonaną na robotniku! Ziemia należy do wszystkich! Dziedziczenie jest nikczemnością i hańbą!...“ W tym miejscu przerwał sobie gwałtownie, zmieszany jak ktoś, kto zaczyna mówić głupstwa. Dorzucił więc tonem spokojniejszym: — „Ale nie czas w tej chwili rozprawiać o tych rzeczach“.

Otworzył się drzwi i ukazał się w nich doktor Chenet. Na chwilę okazał przestraszony, ale odzyskał kontenans¹ i zbliżywszy się do starej rzekł: — „Ho, ho! Nasza babcia dobrze się nam dzisiaj czuje! Popatrzcie: a ja o tym powątpiewałem. Mimo to powiedziałem sobie dopiero co, gdym szedł po schodach: założę się, że nasza starożytna osoba będzie na nogach“. A poklepawszy ją lekko po plecach, orzekł: — „Jestem mocna jak Pont-Neuf², pochowam was wszystkich — zobaczycie“.

Przyjawszy kawę, którą mu zaproponowano, usiadł przy stole i zaraz wmieszał się do rozmowy dwu mężczyzn, stając po stronie pana Braux.

Stara poczuła zmęczenie i wyraziła chęć odejścia. Caravan pośpieszył jej z pomocą, ale ona wlepiła weń oczy i powiedziała: — „Słuchaj, masz mi natychmiast wnieść komodę i zegar“. A gdy bąkał: — „Dobrze, mam“ — przyjęła ramię córki i zniknęła z nią na schodach.

Strąceni w sromotną klęskę małżonkowie Caravan oniemieli w chmurnym niepokoju. Braux zacierał tymczasem ręce, pochlipując kawę.

¹ Kontenans — pewność siebie.

² Jeden z najstarszych mostów w Paryżu, zbudowany w latach 1578—1607 (przyj. tłum.).

Nagle pani Caravan skoczyła ku niemu i ryknęła — „Ty złodzieju, łajdaku, kanalio... Pluję ci w twarz... Ja cię... Ja cię...” — Nie znalazłszy właściwych słów, dyszała. A on śmiał się, wciąż popijając.

Akurat powróciła szwagierka, więc pani Caravan poskoczyła ku niej. I obydwie kobiety, jedna olbrzymia ze swym groźnym brzuchem, a druga epileptyczna i chuda, poczęły z drżeniem rąk zmienionymi głosami wrzeszczeć na całe gardło i obrzucać się wzajemnie stekiem wyzwisk.

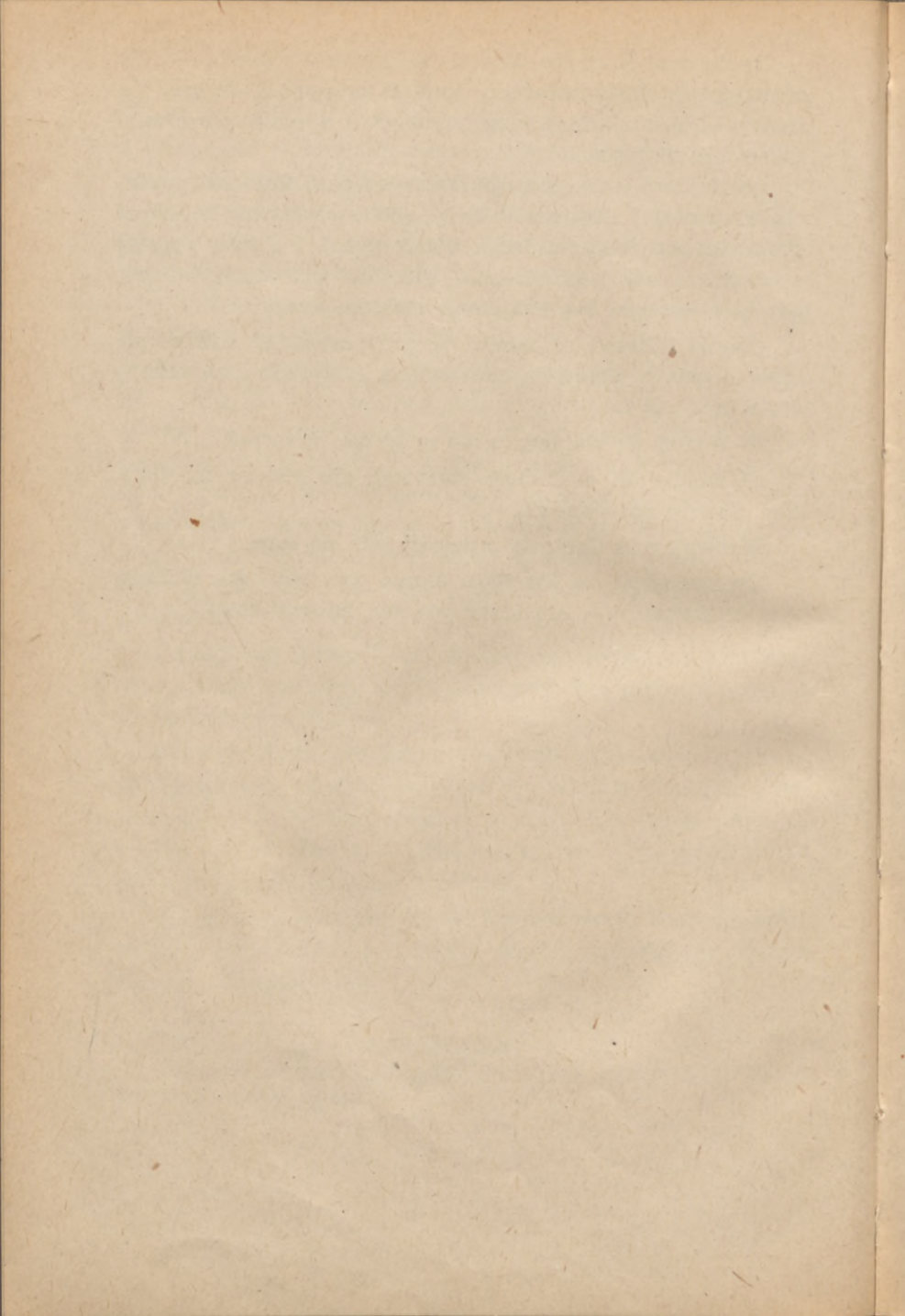
Chenet i Braux rozdzielili je, przy czym ten ostatni pochwycił swoją połowicę za ramiona i wyrzucił na schody wołając:

— Wynoś się kłapouchu, bo za głośno ryczysz!

Słyszano, jak odchodząc szamotali się jeszcze na ulicy. Pan Chenet pożegnał się.

Małżonkowie Caravan pozostali sam na sam.

On osunął się na krzesło i zimny pot zrosił mu skronie, gdy wyszeptał: — „Co teraz powiem naczelnikowi?”



PCHŁA

Dyliżans¹ idący do Hawru miał właśnie wyjechać z Criquetot i wszyscy podróżni czekali na wywołanie ich nazwisk w podwórzu Hotelu Przemysłowego, dzierżawionego przez Malandaina syna.

Był to żółty pojazd na kołach niegdyś również żółtych, obecnie jednak szarych od błota. Przednie były całkiem małe, a tylne, wysokie i cienkie, dźwigały na sobie pudło niezgrabne i wydęte jak potężny brzuch. Trzy siwe szkapy, z których na pierwszy rzut oka widać było tylko olbrzymie łby i grube okrągłe kolana, miały ciągnąć ten wóz o potwornych kształtach i zdawały się już zasypiać przy nim.

Woźnica, Cezary Horleville, mały człowieczek o wielkim brzuchu, mimo to zwinny dzięki ciągiemu wskakiwaniu na koła i wspinaniu się na wysoki kozioł, z twarzą czerwoną od wiatru, deszczu i mrozu, a także od wódki, o oczach stale mrugających, ukazał się w bramie hotelu ocierając usta wierzchem dłoni... Duże, okrągłe kosze pełne wystraszonego drobiu stały obok nieruchomych wieśniaczek. Cezary brał je jeden po drugim i ustawiał na dachu dyliżansu; następnie z większą ostrożnością umieszczał te, w których były jaja, na koniec rzucił, stojąc już na dole, kilka małych worków ze zbożem i pakunków zawiniętych w chustki, szmaty lub papier. Następnie otworzył tylne drzwi i wyjąwszy z kieszeni listę podróżnych wywoływał:

— Ksiądz proboszcz z Gorgeville.

¹ Dyliżans — omnibus pocztowy konny.

Do wehikułu¹ podszedł ksiądz, rosły, barczysty, gruby, z fioletową twarzą o przyjemnym wyrazie. Podciągnął sułtanę, aby wysunąć stopę, jak kobiety unoszące spódnicę, i wspiął się na stopień, po czym wszedł do wnętrza.

— Pan nauczyciel z Rollebose-les-Grinets.

Wywołany podskoczył: długi, nieśmiały, w surducie sięgającym po kolana; szybko zniknął w otwartym pudle.

— Poiret, dwa miejsca.

Zbliżył się Poiret, wysoki i pokrzywiony, zgarbiony od pluga, wychudły od wstrzemięźliwego trybu życia, kościsty, o skórze wyschłej skutkiem rzadkiego mycia. Za nim szła jego żona, mała i chuda, podobna do wymęczonej szkapy, oburącz trzymając olbrzymi zielony parasol.

— Rabot, dwa miejsca.

Rabot, zawsze zakłopotany, zawahał się. Zapytał:

— Czy to mnie wołacie?

Woznica, zwany „mądrąłą“, zaczynał już jakiś rubaszny żart, gdy Rabot wsunął głowę do budy pchnięty przez żonę. kobietę rosłą, kwadratową, o brzuchu jak beczka i rękach szerokich jak kijanki.

Rabot wśliznął się do wehikułu ruchem szczura wracającego do swej dziury.

— Caniveau.

Gruby wieśniak, potężny jak byk, stanął na stopniu, który się pod nim ugiął, i zniknął z kolei we wnętrzu złotego pudła.

— Belhomme.

Belhomme, wysoki i chudy, zbliżył się do dylizansu z przekrzywioną szyją i twarzą wyrażającą cierpienie, przyciskając do ucha chustkę, jak gdyby bolały go zęby.

Wszyscy mieli niebieskie bluzy na staroświeckich, dziwacznych kurtkach z czarnego lub zielonego sukna — stroju odświętnym, który odsłonią na ulicach Hawru; głowy ich zaś

¹ Wehikuł — pojazd, wóz.

okrywały jedwabne kaszkiety, wysokie jak wieże — szczyt elegancji we wsiach normandzkich.

Cezary Horleville zamknął drzwiczki swojego pudła, wspiął się na kozioł i trzasnął z bicza.

Trzy konie jakby zbudziły się i gdy poruszyły łbami, odezwały się dzwonki przyczepione do uprzęży.

Woźnica wrzasnął na całe gardło: „wio!“ i zakręciwszy batem musnął nim grzbiety zwierząt. Drgnęły z wysiłkiem i ruszyły z miejsca powolnym kulejącym kłusem. Za nimi toczył się dylizans; trzęsące się pudło, resory i reszta żelastwa wydawały ogłuszający huk przypominający brzęczącą blachę i szkło; podczas gdy podróżni siedzący rzędami podskakiwali i pochylali się wszyscy razem za każdym podrzutem jak fale w czasie odpływu.

Z początku milczeli przez uszanowanie dla księdza, krępującego ich w swobodnych wynurzeniach. Po chwili jednak on odezwał się pierwszy, gdyż był z natury rozmowny i przystępny:

— Jakże się macie, Caniveau — zapytał — wszystko w porządku?

Olbrzymi wieśniak, sympatyzujący z księdzem, jako że byli do siebie podobni postawą, brzuchem i całym wyglądem zewnętrznym, odparł z uśmiechem:

— Jakoś tam idzie, proszę księdza proboszcza, jakoś tam idzie; a jak u księdza dobrodzieja?

— O, u mnie wszystko dobrze.

— A wy, Poiret? — zapytał ksiądz.

— Ha, jakoś by tam było, gdyby nie rzepak. Nie udał się w tym roku. Zawsze spadają na człowieka kłopoty.

— Trudno, czasy teraz ciężkie.

— Oj, co ciężkie, to ciężkie — silnym głosem żandarma potwierdziła olbrzymia Rabotowa.

Była z sąsiedniej wsi, więc ksiądz znał tylko jej imię.

— To wy, Blondelka? — zapytał.

— Tak, to ja, co wyszłam za Rabota.

Rabot, chorowity i nieśmiały, zawsze zadowolony, skłonił się z uśmiechem, głęboko pochylając głowę naprzód, jak gdyby chciał powiedzieć: „Tak, to ja, Rabot, który ożeniłem się z Blondelą“.

Nagle Belhomme, który wciąż trzymał chustkę przy uchu, zaczął jęczeć przejmująco. Wydawał z siebie jakieś — Uu... Uu... Uu... — tupiąc przy tym nogą, aby wyrazić swój straszny ból.

— Tak was zęby bolą? — zapytał ksiądz.

Wieśniak na chwilę przestał jęczeć, aby odpowiedzieć:

— Nie, proszę księdza proboszcza... To nie zęby... to ucho, w samym środku... głęboko.

— A cóż wy tam macie w tym uchu? Wrzód czy co?

— Czy wrzód, to tego nie wiem, ale wiem, że to zwierzę, wielkie zwierzę, co mi tam wlało, jak spałem w stodole na sianie.

— Zwierzę? Czyście tego całkiem pewni?

— Czy jestem pewny? Taki pewny, jak raju, proszę księdza proboszcza, bo mnie przecie gryzie w środku ucha. A w głowie jak mi wierci! Jak mi wierci w głowie! Uu... oj... — I znów zaczął tupać.

Całe otoczenie żywo przejęło się tą sprawą.

Każdy wyrażał swój pogląd. Poirret utrzymywał, że to pajak, nauczyciel, że gąsienica. Słyszał już raz o takim wypadku w Campamuret, gdzie pracował przez, sześć lat. Gąsienica weszła jednemu człowiekowi do głowy i wylazła nosem, ale człowiek ogluchł, gdyż pękł mu bębenek w uchu.

— To będzie raczej jakiś robaczek — zaopiniował ksiądz.

Belhomme z głową przekrzywioną na bok i opartą o drzwiczki, gdyż ostatni wszedł do dylizansu, nie przestał jęczeć.

— Uu... Uu... Uu... Mnie się zdaje, że to chyba mrówka, bardzo wielka mrówka, bo tak kasa... Och, proszę księdza proboszcza... ratunku... ratunku... teraz mi lata w środku ucha... Uu... jak boli...

— Nie byłeś u doktora? — zapytał Caniveau.

— Pewno, że nie.

— Dlaczego?

Strach przed lekarzem uspokoił Belhomme'a.

Wyprostował się, nie odejmując jednak chustki od ucha.

— Dlaczego? Może ty masz pieniądze dla takich próżniaków? Kazałby mi przyjść raz i drugi, i trzeci, i czwarty, i piąty! To znaczy dwa franki¹, na pewno dwa franki... I co by mi taki oszukaniec poradził? No, powiedz, co by mi poradził?

Caniveau zaśmiał się.

— Czy ja wiem? Gdzie jedziesz?

— Do Hawru. Do Chambrelana.

— Do jakiego Chambrelana.

— No do tego, co się zna na leczeniu.

— Zna się na leczeniu?

— Przecie mi uratował ojca.

— Ojca?

— Tak, już dawno.

— A co mu było?

— Takie strzykanie w plecach, że już nie mógł chodzić.

— I co zrobił ten Chambrelan?

— Co? Wysmarował mu plecy obiema rękami. Tak go wygniótł, jakby miesił ciasto na chleb. I za parę godzin ojciec chodził!

Belhomme wiedział też, że Chambrelan mówił przy tym jakieś słowa, ale nie śmiał o tym wspomnieć wobec księdza.

Caniveau zauważył ze śmiechem:

— A może to zając wlaźł ci do ucha? Może mu się zdawało, że to jego nora, bo tam przecie takie zarośla... Czekaaj, ja go wypłoszę.

I złożywszy ręce w trąbkę Caniveau zaczął naśladować ujadanie psów gończych. Warczał, wył, szczekał. Wszyscy po-

¹ Frank — jednostka monetarna Francji.

kładali się ze śmiechu, nie wyłączając nauczyciela, który nigdy się nie śmiał.

Ponieważ jednak Belhomme wydawał się dotknięty, że z niego szydzą, ksiądz zaczął mówić o czym innym, zwracając się do tęgiej Rabortowej.

— Musicie mieć kilkoro dzieci?

— Ano mamy, proszę księdza proboszcza. A jak to człowiekowi ciężko wyżywić tyle gęb!

Rabot skinął głową potakująco, jakby mówił: „Oj jak to ciężko“.

— Ileż macie dzieci?

Z pewnością siebie, głosem silnym i stanowczym oświadczyła:

— Szesnaście, proszę księdza proboszcza. W tym piętnaście z moim chłopem.

Rabot uśmiechnął się teraz, jeszcze wyraźniej pochylając czoło w ukłonie. Piętnastoro dzieci spłodził on sam, Rabot! Żona sama przyznała! Nikt nie może już wątpić. Rabot może być dumny!

Czyje było szesnaste, nie powiedziała. Zapewne najstarsze? Widocznie wszyscy o tym wiedzieli, gdyż nikt się nie zdziwił i Caniveau nie zażartował.

Belhomme zaczął znowu jęczeć:

— Uu.. Uu... Uu... Jak mi tam wierci w środku... Och jak boli!...

Dylichans zatrzymał się przed kawiarnią Polety. Proboszcz zbliżył się do Belhomme'a:

— Gdyby wam tak wlać trochę wody do ucha, może by to wypłynęło. Spróbujecie?

— Pewnie, że spróbuję.

I wszyscy wysiedli, aby asystować przy operacji.

Ksiądz kazał podać miednicę, serwetę i szklanę wody, następnie polecił nauczycielowi, aby przechylił głowę pacjenta i szybko ją odwrócił, gdy woda napełni ucho.

Caniveau jednak zajrzawszy do ucha Belhomme'a, żeby się przekonać, czy gołym okiem nie odkryje zwierzęcia, zawołał:

— Do diabła, przecież to marmelada! Trzeba to naprzód wyjąć, Belhomme! Inaczej twój zajac nigdy się stąd nie wydobędzie, bo wszystkie cztery łapy mu się przylepią.

Proboszcz również zbadał ucho i osądził, że jest zbyt zapchane, aby zwierzę mogło się wydostać. Nauczyciel obwinawszy zapalkę jakimś strzępkiem podjął się usunięcia woszczku; następnie, wśród ogólnego napięcia, ksiądz wlał pół szklanki wody, która spłynęła po twarzy i karku Belhomme'a. Nauczyciel szybko przekreślił głowę, jakby była na śrubie. Kilka kropel wody wypłynęło z ucha na miednicę. Wszyscy rzucili się ku naczyniu. Nie wyszło żadne zwierzę, Belhomme jednak oświadczył:

— Już nic nie czuję!

Wobec tego ksiądz z miną triumfatora obwieścił:

— Widocznie się utopiło.

Wszyscy byli zadowoleni i całe towarzystwo na powrót wsiadło do dylżansu.

Zaledwie jednak ruszyli z miejsca, Belhomme zaczął wydawać przeraźliwe krzyki. Zwierzę przebudziło się i zaczęło szaleć. Twierdził nawet, że weszło mu teraz do głowy i pożera mu mózg. Wył i miotał się tak okropnie, że żona Poireta sądząc, iż go diabeł opętał, zaczęła płakać, raz po raz kreśląc w powietrzu znak krzyża. Po chwili, gdy ból uśmierzył się nieco, Belhomme zaczął opowiadać, jak o n o obiega teraz całe wnętrze ucha. Palcem naśladował ruchy zwierzęcia, które zdawał się widzieć.

— O, patrzcie... Teraz leci do góry... Uu... Uu... Uu...
Jak boli!

Caniveau stracił cierpliwość:

— Może twój zwierzak jest przyzwyczajony do wina i wścieka się, żeśmy mu dali wody.

Znów się odezwały śmiechy. Caniveau dodał:

— Jak przyjeździemy do kawiarni Bourbina, daj mu kieliczek tej mocnej, a przekonasz się, że ani drgnie.

Ale Belhomme nie mógł już dłużej wytrzymać bólu. Zaczął teraz wrzeszczeć co sił, jak gdyby go obdzierano ze skóry. Ksiądz musiał mu podtrzymywać głowę. Poproszono Cezarego, żeby się zatrzymał przed pierwszym domem, jaki napotkają.

Niebawem stanęli przed jakąś przydrożną gospodą. Wprowadzono tu Belhomme'a i ułożono go na stole kuchennym, aby ponowić operację. Caniveau radził, żeby do wody dolać wódki i w ten sposób zwierzę upoić, uspić, a może nawet zabić. Ksiądz jednak oświadczył się za octem.

Tym razem wsączono tę mieszaninę kropla po kropli, aby dotarła do wnętrza, następnie pozostawiono ją przez kilka minut w organie zamieszkałym przez złośliwe stworzenie.

Znów przyniesiono miednicę, a wówczas dwaj olbrzymi, ksiądz i Caniveau, szybko przewrócili chorego na drugi bok, nauczyciel zaś palcami stukał w zdrowe ucho, aby gruntownie opróżnić chore.

Nawet Cezary wszedł do izby z batem w rękę i przypatrywał się operacji.

Nagle dostrzeżono na dnie miednicy brunatny punkcik, nie większy od nasienia cebuli. Punkcik poruszał się jednak. Była to pchła! Zerwały się okrzyki zdziwienia, a później hałaśliwy śmiech. Pchła! Co za historia! Caniveau uderzał się po udach, Cezary trząsał batem, ksiądz pokładał się ze śmiechu, nauczyciel chlapał, jakby miał silny katar, a obydwie kobiety chichotały, wydając krótkie okrzyki radości podobne do gdakania kur.

Belhomme usiadł na stole i wzięwszy na kolana miednicę z wodą uważnie i ze złośliwą radością w oczach przyglądał się pokonanemu owadowi, kręcącemu się teraz w wodzie.

— Masz, ścierwo! — zaklął i splunął na pchłę.

Woźnica podskakując z radości powtarzał:

— A to ci pchła! A to ci pchła! Psiakrew!

Uspokoiwszy się nieco krzyknął:

— Dalej w drogę! Dość czasu straciłem!

Podróżni ze śmiechem skierowali się ku dylizansowi.

Belhomme idąc na ostatku oświadczył:

— Wracam do Criquetot. Nie mam już teraz żadnego interesu w mieście.

Woźnica odpowiedział:

— To wszystko jedno, ale zapłać!

— Zapłacę połowę, bo ledwie pół drogi ujechałem.

— Zapłacisz wszystko, bo wziąłeś miejsce do Hawru.

I rozpoczęła się sprzeczka, z której niebawem wywiązała się gwałtowna kłótnia. Belhomme zaklinał się, że nie da więcej niż franka, Cezary powtarzał, że musi dostać dwa.

Wrzeszczeli obaj przyskakując do siebie, zaperzeni, z błyszczącymi gniewnie oczami.

Caniveau wysiadł z bryki.

— Posłuchaj — rzekł — naprzód zapłacisz dwa franki proboszczowi, a potem kolejkę wszystkim nam, to będzie razem dwa siedemdziesiąt pięć, a potem dasz Cezaremu franka. Zgadzasz się, mądrala?

Woźnica zachwycony, że Belhomme będzie musiał wydać trzy franki i siedemdziesiąt pięć centymów odparł:

— Zgoda!

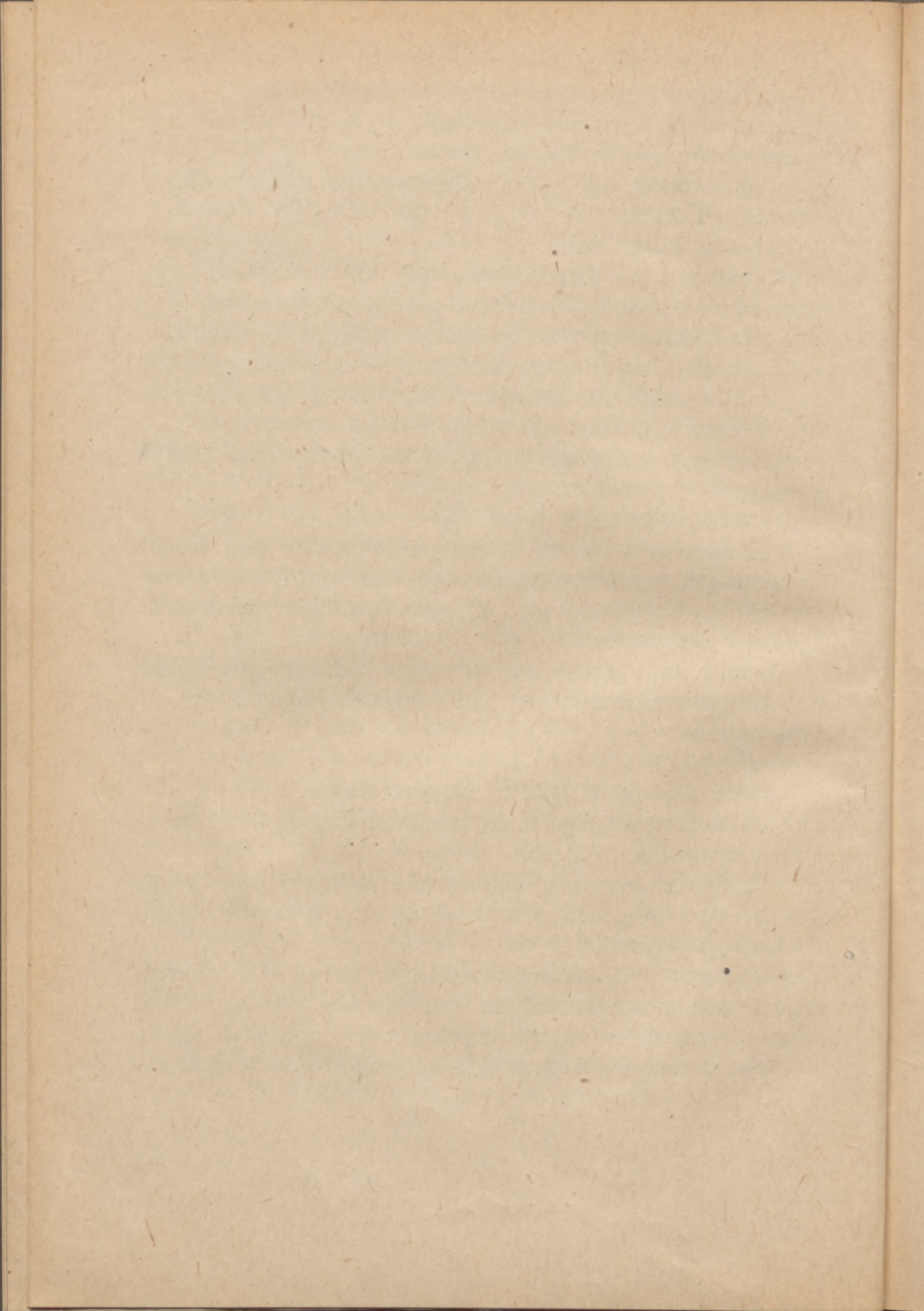
— To płać!

— Nie zapłacę. Książdz to nie jest doktor.

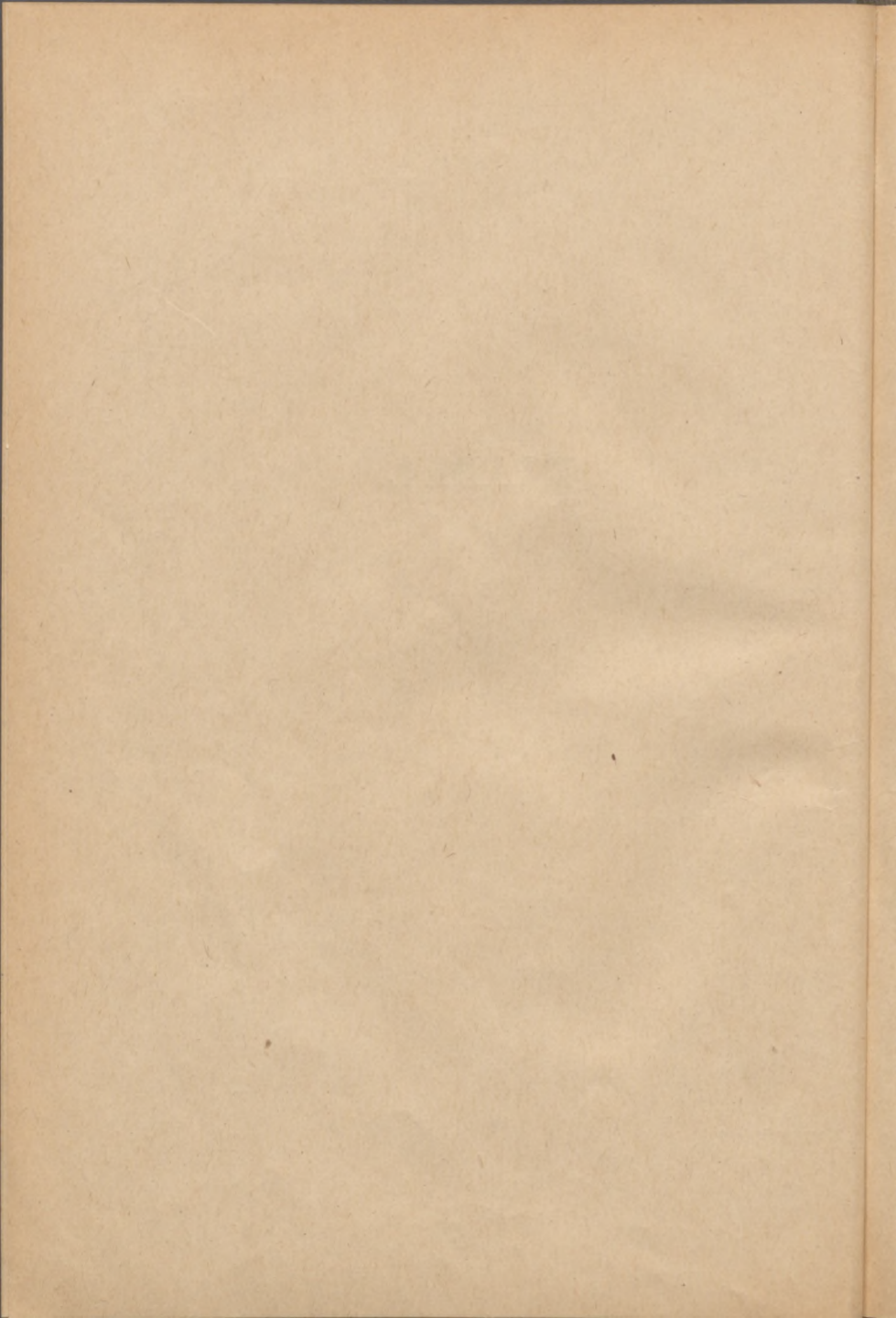
— Jak nie zapłacisz, to cię wsadzę nazad do budy Cezarego i zawiozę do Hawru.

Olbrzym chwyciwszy Belhomme'a za barki podniósł go jak dziecko. Belhomme zrozumiał, że nie ma żartów. Wyjął sakiewkę i zapłacił.

Po chwili dylizans znów ruszył w stronę Hawru, Belhomme zaś pieszo wracał do wsi; wszyscy podróżni nagle uspokojeni siedzieli milcząc wpatrzeni w drogę, gdzie wśród kurzu niebieska bluza wieśniaka kołysała się na długich nogach.



DIABEL



Wieśniak stał naprzeciw lekarza u łoża umierającej. Stara, spokojna i blada, z rezygnacją patrzyła na obu, przysłuchując się ich rozmowie. Miała umrzeć i nie buntowała się przeciw losowi; skończył się jej czas; liczyła lat dziewięćdziesiąt dwa.

Przez otwarte okno i drzwi strumienie lipcowego słońca płynęły na nierówne klepisko, ubite sabotami¹ czterech chłopskich pokoleń. Dolatywała tu też woń pól niesiona przez gorący wiatr; woń traw, zboża i liści, palonych południowym upałem. Koniki polne przekrzykiwały się napęlniając powietrze suchym trzaskiem, podobnym do odgłosu drewnianych kołatek, jakie sprzedaje się dzieciom na jarmarkach.

Lekarz rzekł głośniej:

— Bontemps, nie możecie tak zostawić waszej matki całkiem samej w tym stanie. To się może lada chwila skończyć.

Wieśniak ze smutkiem w głosie powtórzył:

— Kiedy ja muszę zwieźć zboże pod dach; i tak już za długo leży w polu. Teraz właśnie dobry czas. Co wy na to, matka?

Umierająca, która się jeszcze nie wyzbyła normandzkiego skąpstwa, spojrzeniem i miną potakiwała synowi, aby zwoził zboże do stodoły, a jej dał umrzeć samej.

Ale lekarz rozgniewany tupnął nogą.

¹ Saboty — chodaki drewniane.

— Cham jesteście, rozumiecie? Ja nie pozwalam na to, rozumiecie? Skoro musicie właśnie dziś zwozić wasze zboże, to idźcie po starą Rapet, niech dopilnuje waszej matki. A jeżeli mnie nie posłuchacie, to wam pozwolę zdechnąć jak psu, kiedy na was znowu przyjdzie choroba, rozumiecie?

Wieśniak, wysoki, chudy, o powolnych ruchach, znękany niezdecydowaniem i bojaźnią wobec doktora, a z drugiej strony zamiłowaniem do oszczędności, wahał się, rachował, mruczał:

— A ile ona bierze, ta Rapet?

Lekarz krzyknął:

— Czy ja wiem? Zależy od tego, na jak długo ją weźmiecie. Zgodzicie się z nią. Ale ma tu być za godzinę, rozumiecie?!

Chłop zdecydował się.

— Idę, idę, nie ma się o co gniewać, panie konsyliarzu! Doktor na odchodnym zawołał jeszcze:

— Uważajcie tylko, bo wiecie, że jak się gniewam, to nie ma ze mną żartów.

Po jego wyjściu wieśniak zwrócił się do matki i powiedział z rezygnacją:

— Idę po Rapetową, kiedy on każe; zaraz wrócę.

Stara Rapet dozorowała umarłych i umierających we wsi i okolicy. Później zaszywszy swych klientów w płótno, z którego już nie mieli wyjść, powracała do żelazka, aby prasować bieliznę dla żywych. Pomarszczona jak zeszlorczone jabłko, zła, zazdrosna, potwornie skąpa, zgięta we dwoje, jak gdyby od ciągłego prasowania przełamala się w krzyżach. Można by powiedzieć, że agonია budziła w niej pewien rodzaj cynicznego¹ upodobania. Nie mówiła nigdy o czym innym jak tylko o ludziach, na których śmierć patrzała,

¹ Cyniczny — pozbawiony szacunku wobec rzeczy i spraw, które dla innych osób są poważne i godne właśnie szacunku.

o zgonach, których była świadkiem, a opowiadała z wielką dokładnością, z wszystkimi szczegółami, jak myśliwy opowiada o swoich strzałach.

Kiedy Bontemps przyszedł do niej, przygotowywała farbę na marszczone kryzy wieśniaczek. Powiedział jej:

— Dzień dobry. Co u was słyhać, wszystko dobrze?

Zwróciła się ku niemu:

— Po staremu, po staremu. A co u was?

— U mnie? Wszystko dobrze. Tylko że coś z matką...

— Z matką?

— Tak, z matką.

— Co jej jest?

— Tylko czekać, jak się przeniesie na tamten świat.

Stara kobieta wyciągnęła ręce z wody; niebieskawe, przezroczyste krople spływały jej z palców.

Nagle zapytała ze współczuciem:

— To już tak z nią źle?

— Doktor mówi, że jutra może nie doczeka.

— No, to pewno z nią źle!

Bontemps wahał się. Chciał przygotować grunt dla swej propozycji. Ale że nic mu na myśl nie przyszło, zdecydował się w jednej chwili:

— Ile byście tak wzięli, żeby przy niej być do końca? Wiecie dobrze, że ja nie bogacz. Nawet sługi trzymać nie mogę. To ją przecie zmogło — za dużo roboty! Pracowała za dziesięć, pomimo swoich lat.

Rapetowa odrzekła powoli:

— Są dwie ceny: dwa franki za dzień, trzy franki za noc dla bogatych; frank za dzień, dwa za noc dla innych. Wy mi będziecie płacili franka i dwa franki.

Wieśniak namyślał się. Znał dobrze matkę. Wiedział, jaka jest wytrzymała, silna. To mogło potrwać jeszcze z osiem dni, mimo orzeczenia lekarza.

Odpowiedział stanowczo:

— Nie Wolę, żebyście mi powiedzieli razem, aż do końca. Doktor powiedział, że się niedługo skończy. Jeżeli tak, to wasz zysk, a moja strata. A jak przetrzyma jutro i dłużej, to mój zysk, a wasza strata.

Kobieta zdziwiona spojrzała na mówiącego. Nigdy nie godziła się na ryczałt... Wahała się, nie chcąc ryzykować. Potem przyszło jej na myśl, że może ją chce wywieść w pole.

— Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie zobaczę waszej matki.

— Chodźcie ze mną.

Wytarła ręce i poszła natychmiast.

Po drodze nie rozmawiali. Ona szła śpiesznie, on wyciągał swoje długie nogi, jakby za każdym krokiem miał przesadzić strumień.

Krowy leżące na polu, zleniwiałe od skwaru, podnosiły ciężko głowy i wydawały słabe stęknienia, jak gdyby prośbę o świeżą trawę.

Zbliżając się do domu Bontemps mruknął.

— A gdyby się tak już skończyło samo?

Ton głosu wyrażał jego niejasne życzenie.

Ale stara żyła. Patrzyła w pułap leżąc na barłogu, ręce złożyła na fioletowej, bawełnianej kołdrze, ręce przerażająco chude, obnażone, podobne do dziwacznych krabów albo pająków, powykęcane od reumatyzmu, umęczenia i robót, których niemało dokonały w ciągu prawie całego wieku.

Rapetowa zbliżyła się do chorej i spojrzała na nią uważnie. Wzięła ją za puls, opukała, zapytała o coś, aby usłyszeć jej głos, potem znowu uważnie się jej przypatrzyła i wyszła z synem. Wyrobiła sobie stanowcze zdanie: stara nie przeżyje nocy.

— No więc?

Kobieta powiedziała.

— To potrwa dwa dni, może trzy. Dacie mi sześć franków za wszystko razem.

— Sześć franków — zawołał — sześć franków! Czyście zwariowali? Ja wam mówię, że to na pięć, sześć godzin, nie więcej!

Długo targowali się zaciekle. Ale że kobieta już chciała odejść, a zboże samo do stodoły by nie zaszło, zgodził się na koniec:

— Niech będzie sześć franków za wszystko aż do po-grzebu.

— Sześć franków.

Odszedł do swego zboża leżącego na polu.

Kobieta wróciła do chaty. Wzięła się do roboty, gdyż czuwając przy umierających ustawicznie pracowała dla siebie lub dla rodziny, która ją najęła.

Nagle zapytała:

— A sakramenta przyjęliście?

Wieśniaczka zaprzeczyła poruszeniem głowy, a Rapedetowa, kobieta bardzo pobożna, powstała żywo.

— Jezus, Maria, Józef! Czy to może być? Lecę po księdza proboszcza.

Ksiądz wyruszył niebawem w białej komży; chłopak z chóru głośnym dzwonieniem obwieszczał cichej i nagrzanej wiosce, że idzie z Panem Bogiem. Ludzie pracujący w oddali zdejmowali czapki i zaprzestawali na chwilę roboty, dopóki biały strój kapłana nie zniknął za jakąś chatą; kobiety wiążące snopy zwróciły się w stronę, skąd dochodził dźwięk i kreśliły znak krzyża, czarne kury przestraszone biegly chwiejąc się na nogach wzdłuż rowu aż do dobrze im znanej dziury, gdzie zapadały nagle; siwek, przywiązany do pala na łące, przestraszony białą komżą zaczął biegać wokoło, rwąc się na sznurze. Chłopak kościelny, w czerwonym ubraniu, szedł prędko, kapłan kroczył za nim z głową opuszczoną na piersi, z biretem na głowie, szepcząc modlitwy; za nimi dreptała Rapedetowa skulona we dwoje, jak gdyby każdej

chwili miała upaść w przód, z rękami złożonymi jak w kościele.

Bontemps widział ich z daleka. Zapytał:

— A dokąd to jegomość?

Chłopiec szybko odpowiedział:

— Idziemy do waszej matki z Panem Jezusem.

Wieśniak nie był zdziwiony.

— Tak, tak. Na to nie ma sposobu.

I wziął się znów do roboty.

Matka Bontemps wypowiedziała się, otrzymała rozgrzeszenie, przyjęła komunię i kapłan odszedł pozostawiając obie kobiety w parnej i dusznej atmosferze izby.

Rapetowa spoglądała na umierającą ciekawa, czy też to długo jeszcze potrwa.

Dzień się skończył; świeższe powietrze wchodziło ze świeższym wiatrem, który poruszał święty obraz przytwierdzony dwoma gwoździemi do ściany, małe firanki, niegdyś białe, dziś żółkłe i popstrzone przez muchy, podfruwowały, jak gdyby chciały uwolnić się, ulecieć jak dusza starej kobiety.

Ona, nieruchoma, z oczami szeroko otwartymi, zdawała się obojętnie czekać śmierci tak bliskiej, która widocznie ociągała się. Krótki oddech, wydobywający się ze ściśniętego gardła, wydawał odgłos podobny do gwizdu. Niedługo ustanie — i będzie na ziemi o jedną kobietę mniej, o jedną kobietę, po której nikt nie będzie płakał.

O zmroku wrócił Bontemps. Zbliżywszy się do łóżka spostrzegł, że matka żyje jeszcze, i zapytał:

— No, co słyhać?

Tak pytał i dawniej, kiedy czuła się trochę niezdrowa.

Pożegnał Rapetową z poleceniem:

— Jutro o piątej, na pewno.

— Jutro o piątej — odrzekła.

Przyszła w istocie z brzaskiem dnia.

Zanim Bontemps wyszedł na pole, zjadł zupe, którą sobie sam ugotował.

Kobieta zapytała:

— Jak z matką? Żyje?

Odpowiedział ze złośliwym zmrużeniem oczu:

— Ma się nawet lepiej.

Rapetowa zaniepokojona zbliżyła się do umierającej, która leżała w tym samym stanie, apatyczna¹ i nieruchoma, z oczami otwartymi i zaciśniętymi rękami, złożonymi na koldrze.

Zrozumiała, że to może trwać dwa dni, cztery dni, nawet osiem dni, i obawa ścisnęła jej skąpe serce, a także złość na chłopca, który ją wystrychnął na dudka, i na kobietę, która nie umierała.

Wzięła się jednak do roboty i czekała, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na pomarszczoną twarz umierającej.

Bontemps powrócił na śniadanie; wydawał się zadowolony, prawie wesoły; potem znowu odszedł. Zwoził szczęśliwie zboże do stodoły.

Rapetowa żymała się; każda minuta uchodząca obecnie wydawała się jej kradzionym czasem, kradzionym groszem. Miała chęć, gwałtowną chęć chwycić tę upartą babę za szyję, ścisnąć trochę i zatrzymać ten szybki oddech, który kradł jej czas i pieniądze.

Pomyślała jednak o niebezpieczeństwie; przyszło jej na myśl co innego, zbliżyła się do łóżka i zapytała:

— Widzieliście wy kiedy diabła?

Matka Bontemps szepnęła:

— Nie.

Rapetowa stała się rozmowna i zaczęła opowiadać jej historie, które miały napęlić strachem osłabioną wyobraźnię umierającej.

— Kilka minut przed śmiercią — mówiła — pokazuje

¹ Apatyczny — obojętny, nieczuły.

się wszystkim ludziom diabeł. Ma w ręce miotłę, na głowie rondel i głośno krzyczy. Jak go człowiek zobaczy, to ma już tylko parę chwil życia. — Zaczęła wyliczać tych, którym diabeł ukazał się w jej obecności: Józef Loisel, Eulalia Rattier, Zofia Padagneau, Serafina Gropied.

Matka Bontemps, poruszona opowiadaniem, podniosła nieco ręce i usiłowała zwrócić twarz ku oknu.

Nagle Rapetowa znikła u stóp łóżka. Wyjęła z szafy płachtę, w którą się ubrała, nasadziła rondel, którego trzy krótkie wygięte nóżki wyglądały jak rogi; do prawej ręki wzięła miotłę, do lewej blaszane wiadro, które rzucone silnie w powietrze spadło na ziemię z głośnym brzękiem.

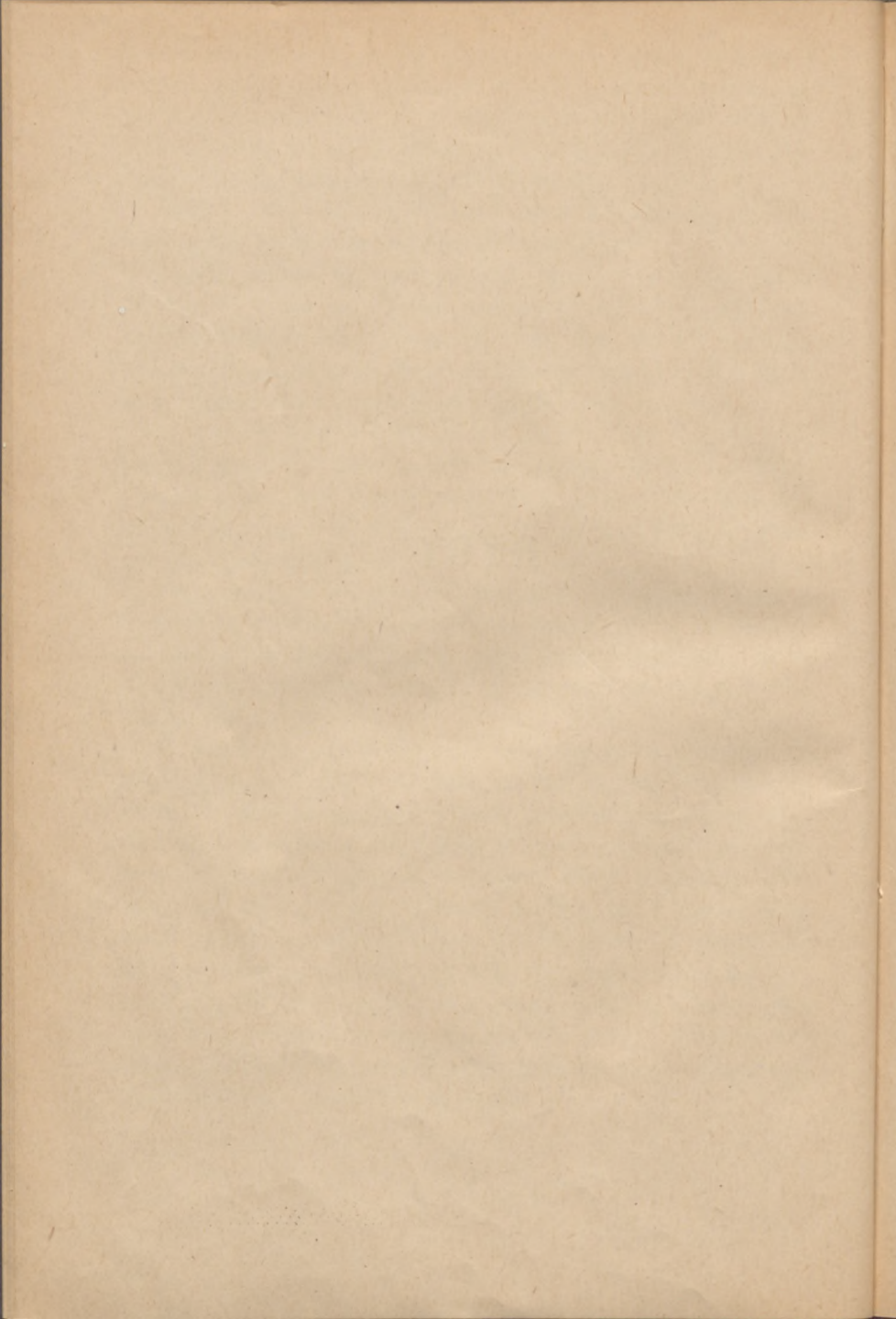
W tym przebraniu weszła na krzesło, odsunęła firankę wiszącą u łóżka i ukazała się chorej gestykulując, wydając z siebie ostre głosy, które przybierały głuchy dźwięk w żelaznym garnku, zasłaniającym jej twarz; przy tym bezustannie wywijała miotłą.

Przerażona, z obłąkanym wzrokiem umierająca kobieta próbowała ostatniego nadludzkiego wysiłku, aby zerwać się z barłogu i uciec; wyciągnęła spod kołdry ramiona i pierś, lecz z głębokim westchnieniem opadła na poduszkę — to był już koniec.

A Rapetowa spokojnie ustawiła wszystko na dawnym miejscu, miotłę rzuciła do kąta, płachtę do szafy, rondel do sieni i wiadro na podłogę; krzesło ustawiła pod ścianą. Następnie z zawodową biegłością przymknęła ogromne oczy zmarłej, postawiła obok łóżka miskę, wlała nieco święconej wody, zanurzyła w niej bukszpan wiszący nad komodą, uklękła i zaczęła z zapalem odmawiać modlitwy za umarłych, które umiała na pamięć jako należące do jej rzemiosła.

A gdy Bontemps wrócił wieczorem, zastał ją przy modlitwie i natychmiast obliczył, że zyskała jeszcze na nim, ponieważ czuwała trzy dni i jedna noc, co mogło kosztować pięć franków, a miała dostać sześć.

RYBY



Paryż był obleżony i zgłodniały¹ Wróble na dachach poznikały i kanały podziemne zostały opustoszone. Żywiono się byle czym.

Pan Morissot, dawniej zegarmistrz, obecnie obrońca ojczyzny, przechadzał się po bulwarach z rękoma w kieszeniach munduru gwardii narodowej², mimo pięknego, wiosennego dnia pan Morissot był smutny — miał pusty żołądek. Nagle twarz jego rozjaśniła się — spotkał pana Sauvage, dobrego przyjaciela, którego poznał nad wodą łowiąc ryby.

int | Przed wojną co niedziela o świcie pan Morissot z bambusowym wędziskiem w rękę i blaszanym pudełkiem na plecach wsiadał do pociągu w Argenteuil, wysiadał w Colombes, a stamtąd piechotą dochodził do wysepki Marrante; tu

¹ Paryż był obleżony i zgłodniały — mowa o oblężeniu Paryża w czasie wojny prusko-francuskiej (1870—1871), za Drugiego Cesarstwa. Szereg klęsk, jakie ponieśli Francuzi; i wzięcie Napoleona III do niewoli spowodowały ogłoszenie republiki, a następnie kapitulację. Zgromadzenie Narodowe — w większości reakcyjne i monarchistyczne — przyjęło ciężkie warunki pokojowe, na skutek czego wybuchło krwawe powstanie ludu paryskiego, które doprowadziło do Komuny Paryskiej, pierwszej w dziejach dyktatury proletariatu (18. III. 1871).

² Gwardia narodowa — rodzaj pospolitego ruszenia, powoływanego pod broń w wypadkach zagrożenia kraju; w czasie wojny francusko-pruskiej 1870—1871 — gwardia narodowa, rekrutująca się z ludu francuskiego, była ośrodkiem buntu przeciw kapitulanczej polityce burżuazji, w wyniku którego powstała Komuna Paryska.

się zatrzymywał, zarzucał wędkę i nie ruszał się z miejsca aż do wieczora.

Co niedziela spotykał w tym miejscu pana Sauvage, właściciela małego sklepu przy ulicy Notre-Dame de Lorette; był to mały człowieczek, krępy, wesoły, wiecznie uśmiechnięty, zapalony wędkarz. Siedzieli często całe pół dnia przy sobie z nogami zwieszonymi, nieruchomi, z oczami wlepionymi w pływaki; zaprzyjaźnili się ze sobą.

Czasem rozmawiali trochę, częściej jednak nic nie mówili, ale rozumieli się doskonale mając te same usposobienia i gusty.

Zwykle na wiosnę około dziesiątej z rana, kiedy słońce podnosząc się nad brzegiem spokojnej wody zaczynało ich przypiekać w plecy, oznajmiając przybycie cieplejszej pory, Morissot odzywał się do sąsiada:

— Czy to naprawdę nie rozkosz?

Pan Sauvage odpowiadał tym samym tonem:

— Nie znam nic lepszego na świecie.

I to im wystarczało. Rozumieli się dobrze.

Jesienią zaś, kiedy pod wieczór purpurowe chmury zabarwiały wodę, zachodzące słońce oblewało ich ognistym światłem, a drzewa zdawały się wstrząsać chłodnym dreszczem, pan Sauvage spoglądał na pana Morissot i mówił:

— Co za wspaniały obraz!

Pan Morissot nie spuszczać oka z wędki dodawał:

— Mogą się bulwary schować, co?

Spratkawszy się teraz w tak odmiennych okolicznościach — ścisnęli się za ręce wzruszeni. Pan Sauvage westchnął i powiedział:

— A to dopiero nieszczęśliwe wypadki.

Pan Morissot westchnął głębiej jeszcze.

— A co za pogoda!

— Dziś właśnie mamy taki przepyszny dzień!

Niebo było rzeczywiście piękne, lazurowe.

Szli obok siebie w milczeniu, smutni. Morissot znów zaczął:

— A nasze wędki? Kiedy do nich wrócimy?

Pan Sauvage westchnął:

— Miłe wspomnienie.

Weszli do małej kawiarni na kieliszek piolunówki; potem znów rozpoczęli spacer po bulwarach. Morissot zatrzymał się nagle:

— Gdyby tak drugi kieliszek!...

Pan Sauvage zgodził się i na drugi, po czym weszli do winiarni.

Trochę im w głowach szumiało, gdy wychodzili, jak to zwykle bywa, gdy alkohol zacznie działać na głodny żołądek. Na dworze było ciepło, przyjemnie.

Lekki wietrzyk muskał ich po twarzy.

Pan Sauvage bardziej jeszcze tym ciepłem upojony zapytał:

— A gdybyśmy tak poszli?

— Dokąd?

— Na ryby.

— Ale w które miejsce?

— Na naszą wysepkę. Nasze posterunki są w Colombes. Znam pułkownika Dumoulin, puszczą nas na pewno.

Morissot zadrżał z radości.

— Owszem, ja idę.

Poszli po wędki.

W godzinę potem kroczyli obok siebie gościńcem do willi pułkownika. Ten się tylko uśmiechnął z ich pomysłu i dał im przepustkę.

Poszli więc, przebyli posterunki, opustoszałą wioskę Colombes i znaleźli się wśród małych winnic opuszczających się ku brzegowi Sekwany.

Była godzina jedenasta.

Naprzeciwko nich leżało Argenteuil, ciche jak grobowiec; pagórki Orgemont i Sannois panowały nad krajobrazem.

Cała równina w stronę Nanterre pusta i martwa, jak okiem sięgnąć.

Pan Sauvage wskazał palcem pagórki i powiedział:

— Prusacy są tam.

Mrowie przeszło ich obu.

Prusacy! Nie widzieli ich wprawdzie nigdy, ale czuli ich od kilku miesięcy i w samym Paryżu, i w okolicach; rujnowali oni kraj, łupili, zabijali, głodzili, a to wszystko niewidzialną i wszechmocną dłońią. Do nienawiści, jaką palali do Prusaków, dołączyło się teraz uczucie jakiejś trwogi przesądnej przed tymi nieznanymi, okrutnymi zwycięzcami.

Pan Morissot szepnął:

— Gdybyśmy ich tak spotkali, co?

A pan Sauvage na to zwykłym, trochę drwiącym tonem:

— No to cóż? Zaprosilibyśmy ich na smażone rybki.

Jednak znać było po nich pewne wahanie. Cisza okolicy niepokoiła ich trochę.

Pan Sauvage zdecydował się pierwszy.

— No, co tam! W drogę! Tylko ostrożnie!

Zeszli wzdłuż winnic, kryjąc się za krzakami, kuląc się lub czołgając.

Przebiegli pędem łączkę, dzielącą ich jeszcze od rzeki, i ukryli się w suchej trzcinie na samym brzegu. Pan Morissot przyłożył ucho do ziemi, czy nie usłyszy jakiej pogoni. Nic; byli sami, zupełnie sami.

Odetchnęli i zapuścili wędkę.

Naprzeciw nich pusta wysepka Marante zakrywała ich od drugiego brzegu.

Domek, rodzaj gospody na wysepce, był szczelnie zamknięty i wydawał się od wieków opuszczony.

Pan Sauvage pierwszy wyciągnął kiełbisa, a pan Morissot drugiego, i co chwila to jeden, to drugi wyciągali wędkę z uczeponą na końcu trzepoczącą się srebrzystą rybką. Doprawdy bardzo udany połów.

Z nadzwyczajną ostrożnością zdejmowali rybki i wkładali je do gęstej siatki leżącej na ziemi. Prawdziwa rozkosz ogarniała ich; tak dawno byli jej spragnieni!

Ciepło słoneczne spływało im po plecach; nie słuchali już niczego, nie myśleli o niczym, zapomnieli o całym świecie; łowili ryby.

Nagle głuchy grzmot jakby spod ziemi wstrząsnął okolicą.

Armaty zaczynały strzelać.

Pan Morissot odwrócił się i na wysokości Mont Valérien spostrzegł biały dym, unoszący się w kształcie pióropusza.

W tejże chwili drugi grzmot wstrząsnął fortem i drugi biały słup stanął obok pierwszego, potem trzeci, czwarty, piąty i tak ciągle, a po chwili całe wzgórze buchało oddechem śmierci.

Pan Sauvage wzruszył ramionami.

— Znowu zaczynają — stwierdził.

Pan Morissot zajęty swoją wędką obruszył się nagle gniewem spokojnych ludzi, którym ktoś zakłóca spokój.

— Co to za głupota, żeby się tak zabijać.

Pan Sauvage odrzekł:

— Gorszi są nawet od bydła.

Morissot wyciągnął właśnie złapaną płotkę.

— To będzie trwać, dopóki będą istnieć rządy.

A pan Sauvage:

— Republika nie wypowiedziałaby wojny.

Morissot przerwał mu:

— Przy królach mamy wojnę na zewnątrz, przy republice będziemy ją mieć wewnątrz.

I tak zaczęli spokojnie rozmowę o najgłębszych problemach politycznych, prowadząc ją ze zdrowym rozsądkiem ludzi prostodusznych i niedaleko patrzących; rozumieli się doskonale i zgadzali się szczególnie w tym punkcie, że nigdy nie będą naprawdę wolni.

A Mont Valérien grzmiał tymczasem bezustannie, burząc domy, gniotąc ludzi, niszcząc wiele marzeń i radości, ukochanie tyłu matek, żon, dziewcząt.

— To jest życie — powiedział pan Sauvage.

— Powiedz pan raczej: to jest śmierć — zakonkludował Morissot.

W tejsze chwili wyraźne stąpanie dało się słyszeć za nimi; drgnęli lekko i obróciwszy się zobaczyli czterech drabów brodatych i zbrojnych, w mundurach podobnych do lokajskiej liberii¹, w płaskich kaszkietach na głowach; trzymali karabiny skierowane lufami na nich dwóch.

Na ten widok wędki wypadły im z rąk i popłynęły z nurtem rzeki

W parę sekund zostali związani, skrupowani, wrzuceni do łódki i przeprowieni na wysepkę Marante.

Ujrzeni teraz za domkiem, który wydawał się im zupełnie opuszczony, ze dwudziestu pruskich żołnierzy.

Jakiś brodaty olbrzym siedział okrakiem na krześle i palił wielką porcelanową fajkę. Spostrzegłszy ich zapytał doskonałą francuszczyzną:

— A więc, panowie, jak się udał wasz połów?

Żołnierz położył na trawie siatkę napełnioną rybkami. Prusak roześmiał się:

— No, jak widzę, nieźle wam szło. Ale teraz nie o tym mowa. Słuchajcie mnie uważnie. Jesteście dwoma szpiegami wysłanymi na zwiady, każę was zatem rozstrzelać. Przyszliście niby ryby łowić, żeby lepiej ukryć swoje zamiary. Nie udało się wam, wpadliście w moje ręce; tym gorzej dla was: to wojna. Jednakże możecie ocalić życie... Wyszliście przez posterunki, więc macie hasło, wydajcie mi je, a uwolnię was natychmiast.

¹ Lokajska liberia — bogaty mundur, w który ubierano lokajów.

Przyjaciele trupio bladzi słuchali w milczeniu i lekkie drżenie wstrząsnęło ich ciała.

Oficer mówił dalej:

— Nikt się o tym nie dowie, wróćcie spokojnie, tajemnica pozostanie między nami. Jeżeli się nie zgodzicie, umrzecie natychmiast. Wybierajcie.

Więźniowie milczeli.

Prusak wyciągnął rękę ku rzece.

— Za pięć minut będziecie na dnie tej wody. Za pięć minut! Macie pewno rodziny?

Mont Valérien grzmiał bez przerwy.

Przyjaciele milczeli.

Prusak wydał jakieś rozkazy po niemiecku i odsunął się z krzesłem trochę na bok; dwunastu żołnierzy weszło z karabinami. Stanęli rzędem o jakieś dwadzieścia kroków.

Oficer odezwał się znów:

— Daję wam jedną minutę do namysłu. Jedną minutę, ani sekundy dłużej.

Potem wstał, nagle zbliżył się do nich i wzięwszy pana Morissot pod rękę odprowadził go na stronę i rzekł cicho:

— Powiedz mi pan hasło! Prędko! Twój towarzysz nie będzie nic wiedział. Ułaskawię was!

Morissot nie odpowiedział ani słowa.

Prusak udał się do pana Sauvage i powtórzył z nim poprzednią scenę.

Pan Sauvage milczał.

Znaleźli się znów przy sobie. Oficer rozpoczął komendę. Żołnierze podnieśli broń.

Wzrok pana Morissot spoczął przypadkiem na małej sieci, pełnej kielbi, leżącej na trawie o parę kroków. Promienie słońca odbijały się na łuskach żywych jeszcze rybek. Morissot uczuł, że robi mu się słabo; oczy mu nagle zwilgotniały i wyszeptał:

— Bądź zdrów, panie Sauvage!

Ten odpowiedział:

— Bądź zdrów, panie Morissot.

Scisnęli się za ręce, drząc jak w febrze.

Oficer zakomenderował: Ognia!

Dwanaście strzałów padło jednocześnie.

Sauvage upadł od razu twarzą naprzód, a Morissot, wyższy, zachwiał się w powietrzu i runął na przyjaciela z twarzą zwróconą ku słońcu; krew buchała mu z piersi kilkoma ranami.

Prusak wydał nowe rozkazy.

Żołnierze rozpierzchli się i wnet powrócili niosąc sznury i kamienie; przywiązano je do nóg obu zabitych i zanieśiono ich na brzeg.

Mont Valérien cały już okryty dymem grzmiał ciągle.

Dwóch ludzi wzięło Morissota za głowę i nogi; dwaj drudzy chwycili Sauvage'a. Zakołysali trupami w powietrzu i rzucili je daleko; na jedną sekundę ciała wyprostowały się, kamienie przywiązane do nóg pociągnęły je prostopadłe na dno rzeki. Woda buchnęła, zakręciła się, zadrżała, potem wszystko ucichło; trochę krwi ukazało się na powierzchni.

Oficer pruski ciągle uśmiechnięty rzekł półgłosem:

— No, a teraz kolej na ryby.

Zawrócił do miejsca, gdzie napełniona kielbami siatka połyskiwała na słońcu; podniósł ją, uśmiechnął się znowu i zawołał:

— Wilhelm!

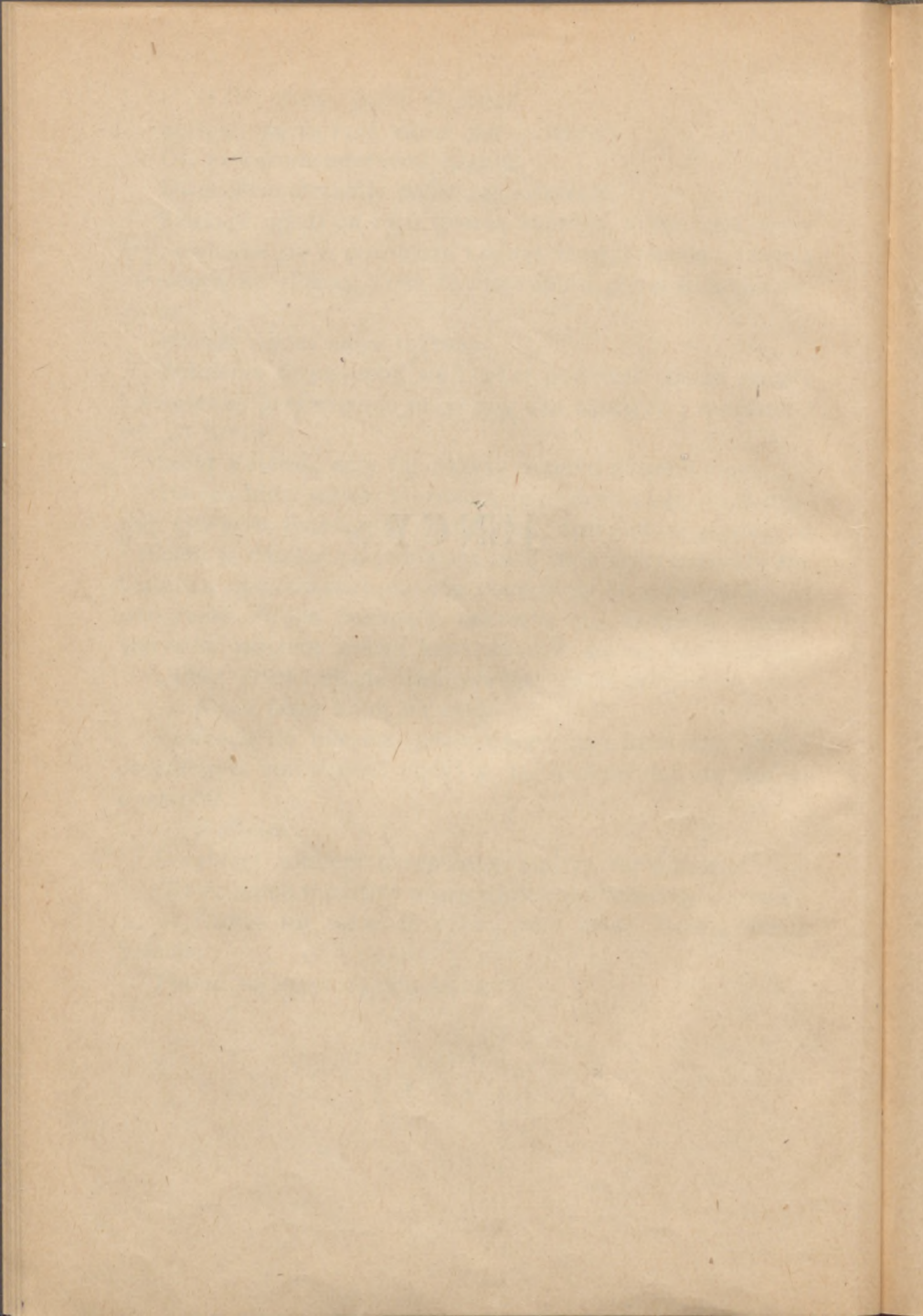
Przybiegł żołnierz przepasany białym fartuchem.

Oficer rzucił mu owoc pracy dwóch rozstrzelanych i rzekł.

— Usmaż mi zaraz te rybki, póki żywe. Będzie dobra kolacja.

Potem na nowo zapalił fajkę.

JENCY



W lesie panowała zupełna cisza poza lekkim szmerem śniegu, proszącego na drzewa. Delikatny puch prószył tak już od południa, osypując gałęzie lodowatym mchem, kładąc na martwych liściach lekki srebrny dach i wyściełając drogi białym dywanem, który pogłębiał nieskończoną ciszę tego oceanu drzew.

Przed drzwiami leśniczówki młoda kobieta o obnażonych ramionach rąbała drwa. Była wysokiego wzrostu, szczupła i silna — prawdziwe dziecko lasów, córka gajowego i żona gajowego.

Z wnętrza domu odezwał się głos:

— My dziś wieczór same; Bertuszko, wracaj do domu, noc zapada, a w pobliżu mogą się wałęsać wilki albo Prusaki¹.

Rozłupując z rozmachem kloc drzewa, przy czym pierś jej wznosiła się za każdym uderzeniem siekiery, kobieta zajęta rąbaniem odparła:

— Kończę już, mamó. Zaraz przyjdę, za chwileczkę. Nie ma się czego bać. Jeszcze jasno.

Następnie zabrała wiązkę chrustu i porąbane drwa. ułożyła wszystko wzdłuż pieca kuchennego i znów wyszła, aby zasunąć ciężkie rygle u drzwi wejściowych.

Matka przedła koło ognia. Była to pomarszczona staruszka, która z wiekiem stała się trwożliwa.

¹ Prusaki — akcja rozgrywa się w czasie wojny francusko-pruskiej w r. 1870—71. Wojska pruskie zajęły wtedy północną część Francji.

— Nie lubię — mówiła — kiedy ojca nie ma w domu. Dwie kobiety w całym domu to nie bardzo bezpiecznie.

Młoda odparła:

— Och, już ja bym dała radę sama zabić wilka albo i Prusaka.

I wzrokiem wskazała na ogromny rewolwer wiszący nad kominem.

Mąż jej został powołany do wojska zaraz na początku inwazji pruskiej. Została w domu z matką i ojcem, starym gajowym, Mikołajem Pichon, przezwanym Szczudło, który uporczywie wzbraniał się opuścić leśniczówkę i przenieść się do miasta.

Najbliższym miastem było Rethel, niegdyś forteca zawieszona nad skałą. Duch tu panował wielce patriotyczny i mieszkańcy miasta postanowili stawić opór najeźdźcom, zamknąć się w swych murach i wytrzymać oblężenie — zgodnie ze starymi tradycjami. Dwukrotnie już, za Henryka IV¹ i za Ludwika XIV², mieszkańcy Rethel odznaczyli się heroiczną³ obroną. To samo, do stu piorunów, zrobią i teraz, albo ostatecznie pozwolą spalić się w swoich murach.

Zakupiono tedy armaty i karabiny i uzbrojono milicję zorganizowaną w bataliony i kompanie, które codziennie odbywały ćwiczenia na Placu Broni. Piekarze, sklepikarze, rzeźnicy, notariusze, stolarze, księgarze, nawet aptekarze kolejno, w oznaczonych godzinach odbywali ćwiczenia pod rozkazami pana Lavigne, niegdyś podoficera dragonów, teraz kupca dzięki ożenkowi z córką i dziedziczką pana Ravaudan starszego.

¹ Henryk IV (1553—1610) — król francuski, za jego panowania skończyła się krwawa wojna domowa katolików z protestantami.

² Ludwik XIV (1638—1715) — król francuski, prowadzący liczne wojny (z Holandią, Hiszpanią), które zrujnowały kraj i wtrąciły w nędzę lud francuski.

³ Heroiczny — bohaterski.

Przybrał on obecnie tytuł komendanta placu, a ponieważ wszyscy młodzi ludzie służyli w armii, więc do swych szeregów zaciągnął tych, którzy postanowili bronić miasta. Odtąd grubasy nie przechadzały się już inaczej jak tylko krokiem wojskowym, aby stracić tłuszcz, a zyskać dłuższy oddech, a cherlaki dźwigały ciężary, aby wzmocnić mięśnie.

Czekano więc Prusaków, ale Prusacy nie pokazywali się. Byli jednak niedaleko, ponieważ dwa razy już przednie ich straże wysłane na zwiady zapędziły się pod samą lesniczówkę Mikołaja Pichon, zwanego Szczudłem.

Stary gajowy pędził jak lis, żeby uprzedzić milicję. Nastawiono armaty, ale nieprzyjaciel nie zjawiał się.

Leśniczówka była najbardziej wysuniętym posterunkiem w lesie Aveline. Stary gajowy dwa razy tygodniowo chodził do miasta po zapasy i przynosił mieszkańcom wiadomości ze swej placówki.

Tego dnia poszedł zameldować, że mały oddział wywiadowczy niemieckiej piechoty zatrzymał się u niego poprzedniego dnia o drugiej po południu i natychmiast ruszył w dalszą drogę. Podoficer dowodzący tym oddziałem mówił po francusku.

Wychodząc do miasta stary zabrał ze sobą dwa olbrzymie psy o lwich paszczach, jako że wilki mocno się rozzuchwaliły w ostatnich czasach. Przykazał też kobietom, żeby zaraz z nadejściem nocy zasunęły rygle u drzwi wejściowych.

Młoda nie obawiała się niczego, stara natomiast trzęsła się ustawicznie, powtarzając:

— To wszystko się źle skończy. Zobaczysz, że to się źle skończy.

Tego wieczoru była jeszcze bardziej niespokojna niż zwykle.

— Nie wiesz, o której godzinie ojciec wróci? — zapytała.

— Chyba nie przed jedenastą. Ile razy zostaje na kolacji u komendanta, zawsze wstaje późno.

I zajęła się umieszczaniem garnka nad ogniskiem, aby ugotować zupę na wieczerzę. Nagle przerwała robotę, gdyż przez rurę kominu doleciały ją jakieś odgłosy.

Szeptała:

— Jakies kroki w lesie. Będzie ich co najmniej sześciu lub siedmiu.

Matka przerażona wypuściła z ręki wrzeciono mamrocząc:

— Boże, Boże, a tu nie ma ojca!

Nie dokończyła jeszcze, gdy gwałtowne uderzenia pięści wstrząsnęły drzwiami.

Kobiety czekały w milczeniu. Silny, gwałtowny głos krzyknął:

— Otworzyć!

Po chwili milczenia ten sam głos zawołał.

— Otworzyć, inaczej rozpiję trzwi!

Wtedy Berta szybko wsunęła do kieszeni wielki rewolwer wiszący nad kominem, wyszła do sieni i przyłożywszy ucho do zamkniętych drzwi zapytała:

— Kto tam?

Głos odparł:

— To ten sam odział, co był wczoraj.

— Czego tu chcecie — podjęła.

— Zgubiliśmy się w lesie i płądzimy od rana. Otworzyć, inaczej rozpiję trzwi.

Berta nie miała wyboru. Szybko odsunęła mocne rygle i otworzywszy drzwi w bladym blasku śniegu zobaczyła sześciu mężczyzn, sześciu żołnierzy pruskich, tych samych, którzy byli tu poprzedniego dnia. Zapytała stanowczym głosem:

— Czego tu chcecie o tej porze?

Podoficer powtórzył:

— Zapląkałem się w lesie, całkiem się zapląkałem, ale poznałem ten dom. Nic nie jatłem od rana, moi ludzie tak samo.

Berta oświadczyła.

— Ale ja jestem w domu sama z matką.

Żołnierz wyglądający na uczciwego człowieka odparł:

— Nie szkoci. Nie zrobię wam nic złego, tylko musicie dać nam jeść. Upadamy z głodu.

Berta cofnęła się mówiąc:

— Wejdźcie.

Weszli, osypani śniegiem, wnosząc na czapkach całe stopy jakby bitej śmietany, przez co wyglądali jak ogromne bezy z kremem. Z postaci ich biło utrudzenie i wyczerpanie.

Młoda kobieta wskazała im drewniane ławy po obu stronach stołu.

— Usiądźcie — rzekła — ugotuję wam zupy. Wyglądacie naprawdę na bardzo zmęczonych.

Następnie zasunęła znów rygle u drzwi.

Dolała do kotła wody, dorzuciła jeszcze masła i kartofli, po czym zdjęła słoninę zawieszoną w kominie, odcięła z niej połowę i wrzuciła ją do garnka

Sześciu mężczyzn spojrzeniami ścigało każdy jej ruch, a z oczu ich wyglądał rozbudzony głód. Karabiny i kaszkiety ustawili w kącie izby i czekali jak grzeczne dzieci na ławkach szkolnych.

Matka znów się zabrała do przedzenia, raz po raz rzucając wystraszone spojrzenia na intruzów¹. W izbie nic nie było słyhać prócz lekkiego warczenia wrzeciona, trzaskania ognia na kominku i syczenia wody, która zaczynała wrzeć.

Nagle dreszcz przebiegł wszystkich na odgłos chrapliwych oddechów dochodzących przez zamknięte drzwi, oddechów zwierzęcych, głośnych, chrapliwych.

Podoficer niemiecki jednym susem podskoczył ku broni. Berta powstrzymała go gestem i objaśniła z uśmiechem.

— To wilki. One, tak jak wy, wałęsają się i są głodne.

¹ Intruz — niepożądany przybysz, natręt.

Nie dowierzając jej wyszedł i odsunął rygle, lecz za ledwie drzwi się otwarły, dwa duże, szare cienie rzuciły się do ucieczki w głąb lasu.

Usiadł więc ponownie, mrużąc

— Nie byłbym ufieszły.

I znów czekał na gotującą się strawę.

Spożywali ją żarliwie, rozdziawiając usta od ucha do ucha, aby połknąć możliwie najwięcej, a okrągłe ich oczy otwierały się równocześnie ze szczękami, gdy z gardzieli wydobywało się bulgotanie jak z przepełnionych rynien.

Obydwie kobiety w milczeniu przyglądały się szybkim ruchom długich ryżych bród, w których kartofle zdawały się znikać niby w ruchliwej złotawej wełnie.

Ponieważ byli bardzo spragnieni, Berta zeszła do piwnicy po jablecznik. Długo nie wracała z tej sklepionej piwniczki, która podczas rewolucji miała podobno służyć za więzienie i kryjówkę. Dostawano się do niej przez wąskie kręte schodki, przysłonięte klapą w podłodze kuchni.

Wyszedszy na koniec z podziemnego sklepienia Berta uśmiechnęła się szyderczo do siebie. Podała Niemcom dzbanek z napojem.

Następnie zjadły z matką wieczerzę w drugim kącie kuchni.

Żołnierze skończywszy jeść zasnęli wszyscy, jak ich było sześciu, dokoła stołu. Od czasu do czasu któryś z nich głucho uderzył czołem w stół, a wtedy nagle rozbudzony zrywał się i prostował.

Berta zwróciła się do podoficera:

— Połóżcie się koło ognia, starczy miejsca dla sześciu. Ja z matką będziemy spać na pięterku.

I obydwie kobiety udały się na piętro. Słysząc było, jak szły po schodach, zamykały drzwi na klucz, chodziły przez chwilę, potem wszystko ucichło.

Prusacy wyciągnęli się na podłodze, nogami zwrócenii do ogna, głowy wsparłszy na zwiniętych płaszczach i niebawem wszyscy chrapali na sześć rozmaitych tonów, głębokich i ostrych, głośno i miarowo.

Musieli spać dość długo, gdy nagle rozległ się strzał tak głośny, jakby kto przypuszczał szturm do domu. Żołnierze zerwali się w oka mgnieniu. Wtem padły znów dwa strzały, a w chwilę potem trzy dalsze.

Drzwi na pierwszym piętrze otworzyły się nagle i ukazała się leśniczka, bosa, w koszuli tylko i krótkiej spódniczce, trzymając w ręku świecę, z przerażoną twarzą. Z trudem wykrztusiła.

— Francuzi idą, będzie ich najmniej dwustu. Jeżeli was tu zobaczą, podpalą dom. Ukryjcie się szybko w piwnicy i zachowujcie się cicho. Bo jeżeli usłyszą, jesteście zgubieni.

Podoficer zmieszany wyszeptał:

— Dopsze, dopsze. Którędy schodzi się do piwnicy?

Młoda kobieta szybko podniosła wąską, kwadratową klapę w podłodze i sześciu mężczyzn jeden po drugim znikali na krętych schodach w podziemiu, tyłem, aby łatwiej po omacku trzymać się schodków.

Z chwilą gdy ostatnia czapka żołnierska zniknęła w mroku piwnicy, Berta zatrzasnęła ciężką klapę dębową, grubą jak mur, twardą jak stal, umocowaną na mocnych żelaznych zawiasach i zaopatrzoną w zamek; dwukrotnie przekręciła w nim klucz, po czym wybuchnęła śmiechem, śmiechem stłumionym i pełnym radości. Miała ochotę zatańczyć nad głowami swych jeńców.

Zachowywali się cicho, zamknięci jakby w szczelnym, kamiennym pudle, dokąd powietrze dochodziło tylko przez zakratowane okienko.

Berta natychmiast ponownie roznieciła ogień i nastawiła kociołek na zupę szepcząc do siebie:

— Ojciec będzie dziś bardzo zmęczony.

Następnie usiadła i czekała. Tylko regularne tykotanie zegara ściennego zakłócało głęboką ciszę.

Od czasu do czasu młoda kobieta rzucała spojrzenie na tarczę zegara, spojrzenie niecierpliwe, zdające się mówić:

— Jak to długo trwa!

Wkrótce wydało się jej jednak, że jakieś głosy dolatują z dołu. Słowa ciche, urywane przedostawały się przez sklepienie piwnicy. Prusacy zaczęli się domyślać podstępu i po chwili podoficer wszedł na schodki i pięścią zaczął walić w dębową klapę. Po chwili krzyczał:

— Otwoszyć!

Wstała, podeszła do kłapy i naśladując jego wymowę spytała:

— Czego chcecie?

— Otwoszyć!

— Nie otwoszę.

Mężczyzna zaklął.

— Otwoszyć, bo inaczej rozpiję trzwi.

Zaśmiała się:

— Rozpijaj, mój zuchu, a rozpij tylko!

Kolbą karabinu zaczął ze wszystkich sił walić w dębową klapę, zamkniętą nad jego głową. Szybko jednak przekonał się, że ta pokrywa oparłaby się nawet pociskom z katapulty.¹

Berta usłyszała, że Niemiec schodzi ze schodów. Po chwili wrócili wszyscy i jeden po drugim próbowali swoich sił, chcąc zerwać klapę. Doszedłszy widocznie do przekonania, że wszystkie usiłowania będą bezcelowe, cofnęli się w głąb piwnicy i zaczęli rozmawiać między sobą.

Młoda kobieta przysłuchiwała się im; potem wyszła do sieni, odsunęła rygle i czekała, czy z lasu nie dobiegnie jakiś odgłos.

¹ Katapulta — machina do wyrzucania pocisków, używana w starożytności.

Istotnie słyhać było dalekie naszczekiwanie psów. Zaczęła je przywoływać gwizdaniem, jak myśliwi. Prawie w tej samej chwili wyłoniły się z mroku dwa duże psy i rzuciły się ku niej ujadając radośnie. Chwyciła je za karki i przytrzymała, aby nie odbiegły. A potem na całe gardło krzyknęła:

— Hop, hop! Ojciec?

Z wielkiej jeszcze odległości odpowiedział:

— Hop, hop! Bertuszka!

Po minucie znów powtórzyła:

— Hop, hop! Ojciec?

A głos znacznie już bliższy odpowiedział:

— Hop, hop! Bertuszka!

Berta zawołała:

— Nie przechodź koło okienka, bo Prusacy są w piwnicy.

Nagle sylwetka rosnącego mężczyzny zarysowała się po lewej stronie, między trzema pniami ściętych drzew.

Zapytał z niepokojem:

— Prusacy w piwnicy? Skąd? Jak?

Młoda kobieta roześmiała się:

— To ci sami, co tu byli wczoraj. Zabłądzili w lesie, a ja im dałam bezpłatną kwaterę w piwnicy.

I opowiedziała całą przygodę, jak ich nastraszyła wystrzałem z rewolweru, a potem zamknęła w piwnicy.

Stary wciąż jeszcze zaniepokojony pytał:

— Jak myślisz? Co trzeba teraz z nimi zrobić?

— Daj znać panu Lavigne, niech tu przyjedzie ze swoim oddziałem. Weźmie ich jako jeńców. Dopiero będzie zadowolony!

Ojciec Pichon uśmiechnął się:

— Tak, to prawda, że będzie zadowolony.

Córka podjęła:

— Masz tu gorącą zupę, posil się i dalej w drogę.

Stary gajowy siadł do stołu i zabrał się do zupy, ustawwszy wpierw na podłodze dwa pełne talerze dla psów.

Prusacy słysząc rozmowę umilkli.

W kwadrans później Szczudło znów ruszył w drogę. Berta czekała wsparłszy głowę na dłoniach.

Jeńcy zaczęli się znów niecierpliwić. Krzyczeli, wołali, z wściekłością waląc lufami w niewzruszoną klapę piwnicy. Następnie zaczęli strzelać przez okratowane okienko, w nadziei, że może jakiś oddział niemiecki przechodzący lasem usłyszy i przyjdzie im z pomocą.

Berta siedziała bez ruchu, ale te wrzaski i strzelanina drażniły ją i gniewały. Zbudził się w niej gniew; zamordowałyby ich, drani, żeby przestali wrzeszczeć.

Potem niecierpliwość jej zaczęła rosnąć; raz po raz spoglądała na zegar licząc minuty.

Upłynęło już półtorej godziny, odkąd ojciec wyszedł. Powinien teraz właśnie dochodzić do miasta. Zdawało się jej, że widzi go przed sobą. Opowiada całą historię panu Lavigne, który błędnie ze wzruszenia i dzwoni na służącą, żeby mu podała uniform¹ i szpadę. Berta słyszy dobosza pędzącego ulicami miasta. W oknach ukazują się wystraszone twarze. Milicjanci wychodzą z domów, na prędcę ubrani, zdyszani, przymocowując pasy, i gimnastycznym krokiem ruszają w stronę domu komendanta.

Następnie cały oddział pod przewodnictwem Szczudła wśród mroku i śniegu, wyrusza ku leśniczówce.

Spojrzała na zegar. Mogą być na miejscu za godzinę.

Ogarnęło ją znowu zniecierpliwienie i niepokój. Każda minuta wlokła się w nieskończoność. Jak to długo!

Nareszcie upłynął czas, który określiła sobie w myśli jako konieczny do przebycia drogi z miasta.

Otworzyła drzwi i znów zaczęła nasłuchiwać. Dostrzegła cień, poruszający się z wielką ostrożnością. Lęk ją przejął i krzyknęła. Był to ojciec.

— Wysiali mnie, żebym zbażał, czy nic się nie stało.

— Nie, nic — odparła.

¹ Uniform -- mundur.

Odwrócił się i w ciszę nocną rzucił przeciągły świst. Wkrótce spośród drzew wyłoniło się coś brunatnego i powoli skierowało się ku domowi; przednia straż złożona z dziecięciu mężczyzn.

Szczudło powtarzał raz po raz:

— Nie przechodzić koło okienka.

Pierwsi ostrzegali znów następnych przed niebezpiecznym okienkiem.

Nareszcie ukazała się siła główna licząca dwustu ludzi, z których każdy miał przy sobie dwieście nabołów.

Pan Lavigne wzburzony, drżący, kazał otoczyć dom, pozostawiając jednak wolną przestrzeń przed czarnym otworem na poziomie ziemi, przez który powietrze dostawało się do piwnicy.

Następnie wszedł do mieszkania i informował się co do sił i postawy nieprzyjaciela, który nagle ucichł, jak gdyby znikł, zapadł się czy uciekł przez okratowany lufcik piwnicy.

Pan Lavigne stuknął nogą w klapę i zawołał:

— Panie oficerze pruski!

Niemiec nie odpowiedział.

— Panie oficerze pruski!

Na próżno. Przez dwadzieścia minut wzywał tego milczącego oficera, aby się poddał ze swoimi ludźmi i amunicją, przyrzekając mu życie i honory wojskowe dla niego i jego żołnierzy. Nie otrzymywał jednak żadnego znaku przyzwolenia lub oporu. Sytuacja stawała się trudna.

Milicjanci tupali nogami po śniegu, wymachiwali rękami uderzając się w ramiona jak zziębnięci dorożkarze i spoglądali na okienko z coraz to większą, dziecinną ochotą, aby przebiec koło niego.

Wreszcie jeden z nich, bardzo zwinny chłopiec, zdecydował się na próbę. Rozpędził się i przebiegł jak jeleń. Próba się powiodła. Jeńcy chyba pomarli.

Ktoś z milicji krzyknął:

— Jest tam kto?

Milczenie. Wtedy drugi żołnierz przebiegł wolną przestrzeń naprzeciwko niebezpiecznej dziury. I rozpoczęła się zabawa. Co chwila jeden z ludzi rozpędywał się i przebiegał od jednej grupy do drugiej, jak to robią dzieci bawiące się w „czarnego luda“; a tak dobrze przebierali nogami, że śnieg rozpryskiwał się w grudach na wszystkie strony. Dla rozgrzania się rozpalono ogniska z suchego chrustu i w tym świetle odbywał się jakby przegląd gwardii narodowej przenoszącej pośpiesznie swój obóz z prawej strony na lewa.

Ktoś krzyknął: — Na ciebie kolej, Maloison!

Maloison był to gruby piekarz, którego brzucał stanowią przedmiot ogólnych żartów.

Wahał się. Zaczęto więc z niego szydzić. Wtedy zebrał na odwagę i drobnym, przyspieszonym kroczkiem, od którego trząsał się jego potężny brzuch, puścił się naprzód, mocno zdyszany.

Cały oddział śmiał się do łez. Dla dodania mu odwagi krzyczeli:

— Brawo, Maloison, brawo!

Przebył już jakie dwie trzecie drogi, gdy w lufce zamigotał podłużny, szybki, czerwony płomień.

Rozległ się strzał i gruby piekarz ze strasznym krzykiem zwałił się twarzą na śnieg.

Nikt mu nie pobiegł z pomocą. Widziano tylko, jak na czworakach włókł się po śniegu jęcząc, a wydostawszy się z niebezpiecznego przejścia zemdał.

Kula utkwiała w górnej części łydki pokrytej grubą warstwą tłuszczu.

Po pierwszym przestraszu i zdumieniu znów wybuchły śmiechy.

Wtem komendant Lavigne ukazał się na progu leśniczówki. Zmienił pierwotny plan ataku. Drzącym głosem zakomenderował:

— Blacharz Blanchet i jego robotnicy!

Trzech mężczyzn wystąpiło naprzód.

— Odczepić rynny z dachu.

W kwadrans później złożono komendantowi dwadzieścia metrów rynien.

Wtedy wśród tysiącznych środków ostrożności kazał w klapie piwnicznej wydrążyć mały otwór, a wsunąwszy w niego pompę oświadczył głosem pełnym zachwytu.

— Damy napić się panom Prusakom.

Rozległy się frenetyczne¹ okrzyki podziwu, wycia radości i śmiech. Komendant wyznaczył plutony, mające co pięć minut luzować się przy robocie. I zakomenderował:

— Pompować!

W blaszanej rurze zaszumiało i wkrótce zaczął spływać w piwnicy ze schodka na schodek, strumyk szemrzący jak kaskada lub fala przybrzeżna, odbijająca się od skały.

Trzeba było czekać

Uplłynęła godzina, następnie druga i trzecia.

Komendant przechadzał się rozgorączkowany po kuchni, raz po raz przykładając ucho do podłogi, aby zmiarkować, co zamierza nieprzyjaciel i czy rychło zdecyduje się poddać.

Nieprzyjaciel wykonywał jakieś ruchy. Słychać było przesuwanie baryłek, rozmowę, chlupot wody.

Wreszcie około ósmej rano z okienka odezwał się głos:

— Kciałbym się rozmówić z francuskim panem porucznikiem.

Lavigne, niezbyt wychylając głowę, odparł przez okno:

— Czy się pan poddaje?

— Pottaję się.

— Proszę więc przede wszystkim oddać broń.

Po chwili ukazał się w lufciku jeden karabin i padł na śnieg, po nim drugi, trzeci — wszystkie. Ten sam głos oświadczył:

— Nie ma fięcej. Śpieszcie się, bo toniemy

Lavigne zakomenderował:

¹ Frenetyczny — gwałtowny, pełen zapału.

— Przestać!

Pompa opadła na podłogę.

Zapełniwszy kuchnię żołnierzami uzbrojonymi i gotowymi do ataku komendant powoli podniósł klapę dębową.

Ukazały się cztery głowy całkiem mokre, cztery jasne głowy o płowych włosach, po czym sześciu Niemców drżących, ociekających wodą, przerażonych wyszło gęsiego z piwnicy.

Pochwycono ich i skrepowano. Obawiając się wszakże jakiejś niespodzianki, natychmiast wyruszono w drogę — jeńcy konwojowani¹ przez jeden oddział milicji, a ranny Maloison na noszach pod osłoną drugiego oddziału.

Triumfalnie wkroczyli do miasta.

Lavigne dostał order za ujęcie przedniej straży pruskiej, a gruby piekarz medal za ranę otrzymaną w walce z nieprzyjacielem.

¹ Konwojowani — odprowadzani pod ochroną lub strażą.

Guy de Maupassant (czyt. Ci de Mopassan) — ur. 5. VIII. 1850, zm. 6. VII. 1893, jeden z najwybitniejszych pisarzy francuskich. Jego twórczość obejmuje okres bardzo krótki, bo rozpoczął pisać mając lat trzydzieści. Maupassant jest mistrzem noweli; powieści, wiersze i sztuki sceniczne są słabsze.

Urodzony i wychowany w Normandii — czcplie starał się tematy do swych utworów, opisując życie rybaków, chłopów i mieszczan. Niektóre są osnute na tle wypadków z okresu wojny francusko-pruskiej w 1870—71 r.

„Opowiadania Maupassanta obnażają kłamstwo i potworność społeczeństwa burżuazyjnego w sposób bardziej przekonujący niż artykuły polityczne“ — pisze Maksym Gorkij, znakomity pisarz radziecki (Klim Samgin, tom II, str. 94). Istotnie, niewiele Francja ma pisarzy, którzy by tak śmiało i bezwzględnie, ostro i brutalnie demaskowali całą ohydę stosunków wytworzonych przez kapitalizm. Maupassant przedstawia właściwe oblicze społeczeństwa kapitalistycznego, ludzi w niewoli pieniądza, co zmusza ich do popełniania szeregu łajdactw, oszustw, występków, zbrodni. Postępowanie swoje osłaniają pozorami cnót, starają się utrzymać opinię ludzi szlachejnych. Maupassant zrywa z nich tę maskę fałszu.

Nie zawsze obraz stosunków społecznych przedstawia się tak ponuro. W zgniliznie stosunków ówczesnych umiał Maupassant dostrzec i jaśniejsze strony: bohaterstwo patriotycznego ludu francuskiego w czasie wojny francusko-pruskiej. Bowiem w czasach, kiedy strwożone sfery reakcyjne kapitulowały przed armią pruską, jedyny opór stawał najeźdźcy robotnik francuski, paryski gwardzista narodowy, chłop, ubogi mieszczanin. — Tam — wskazywał Maupassant — bije prawdziwe serce narodu.

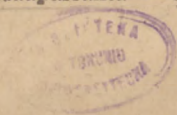
Czasem pisarz, pokazując swych żywych, prawdziwych bohaterów, stwarza znakomite sytuacje komiczne, bawi się ich kosztem, drwi i szydzi z ich słabostek lub wad. Te strony szczerego humoru są

przecież jeszcze ostrzejszym atakiem na wynaturzenia ustroju kapitalistycznego.

Pisarzem rewolucyjnym Maupassant oczywiście nie jest, poprzestaje na realistycznym — bardzo wyraźnym i bardzo prawdziwym — odmalowaniu ludzi swoich czasów. Jedynym wnioskiem, do którego dochodzi, będzie pesymizm. Nawet współczucie dla pokrzywdzonych i nieszczęśliwych nie występuje u niego tak silnie jak u naszych pisarzy, choćby u Prusa czy Orzeszkowej, nie mówiąc o Konopnickiej. Krytyka burżuazyjna pomniejszała celowo znaczenie Maupassanta: zbyt wiele mówił prawdy i zbyt gorzka była ta prawda.

Niniejszy zbiorek próbuje dać pojęcie o różnorodności pisarstwa Maupassanta.

Nowele „Naszyjnik“, „W rodzinnym gronie“ reprezentują utwory o tematyce mieszczańskiej, „Pchła“ i „Diabeł“ przedstawiają życie wsi normandzkiej, „Ryby“ i „Jeńcy“ są zaczerpnięte z wydarzeń wojny francusko-pruskiej. W każdej grupie tematycznej jeden z utworów ma nastrój raczej pogodny, humorystyczny lub wywołuje pobłażliwy uśmiech politowania („Naszyjnik“, „Pchła“, „Jeńcy“) — drugi znaczący się rysami tragicznymi albo budzi dreszcz grozy („W rodzinnym gronie“, „Diabeł“, „Ryby“). W ten sposób czytelnik może poznać całe bogactwo talentu Maupassanta — mistrza noweli francuskiej.



SPIS RZECZY

	Str.
Naszyjnik	3
W rodzinnym gronie	17
Pchła	53
Diabeł	65
Ryby	75
Jeńcy	85
Notatka informacyjna	101

przecież jeszcze ostrzejszym atakiem na wynaturzenia ustroju kapitalistycznego.

Pisarzem rewolucyjnym Maupassant oczywiście nie jest, poprzestaje na realistycznym — bardzo wyraźnym i bardzo prawdziwym — odmalowaniu ludzi swoich czasów. Jedyńm wnioskiem, do którego dochodzi, będzie pesymizm. Nawet współczucie dla pokrzywdzonych i nieszczęśliwych nie występuje u niego tak silnie jak u naszych pisarzy, choćby u Prusa czy Orzeszkowej, nie mówiąc o Konopnickiej. Krytyka burżuazyjna pomniejszała celowo znaczenie Maupassanta: zbyt wiele mówił prawdy i zbyt gorzka była ta prawda.

Niniejszy zbiorek próbuje dać pojęcie o różnorodności pisarstwa Maupassanta.

Nowele „Naszyjnik“, „W rodzinnym gronie“ reprezentują utwory o tematyce mieszczańskiej, „Pchła“ i „Diabeł“ przedstawiają życie wsi normandzkiej, „Ryby“ i „Jeńcy“ są zaczerpnięte z wydarzeń wojny francusko-pruskiej. W każdej grupie tematycznej jeden z utworów ma nastrój raczej pogodny, humorystyczny lub wywołuje pobłażliwy uśmiech politowania („Naszyjnik“, „Pchła“, „Jeńcy“) — drugi znaczą się rysami tragicznymi albo budzi dreszcz grozy („W rodzinnym gronie“, „Diabeł“, „Ryby“). W ten sposób czytelnik może poznać całe bogactwo talentu Maupassanta — mistrza noweli francuskiej.



SPIS RZECZY

Naszyjnik
W rodzinnym gronie
Pchła
Diabeł
Ryby
Jeńcy
Notałka informacyjna

Str.



